AS



Nr. 3.
19 STYCZNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

Oczy Dolores Del Rio
posiadają niepokojący czar i głębię.

Nasz Nowy

KONKURS

na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki.





Od lewej: Oto zgrabna tenisistka, odznaczająca się niejako „klasycznym“ wyglądem. — A oto „tyczka chmielowa“ udająca, że hołduje białemu sportowi.



Powyżej: Jakżeż estetyczną może być narciarka w prostym, praktycznym kostjumie! Na prawo: Lecz jak pocieszną figurą może być kobieta, która nie nadaje się do tego sportu!





Poniżej: Nadwyraz miły „zespół“ tworzy zgrabna amazonka wraz ze swoim koniem i ulubionym psem. — Na lewo: O wiele gorzej, gdy amazonka uniesiona zapałem do konnej jazdy pozwoli się także... ponosić.



Nie jest rzeczą łatwą zorjentować Czytelnika w odniesieniu do pojęcia, co nazywamy pięknem w zdjęciach sportowych, gdyż przecież przysłowie „nie to jest piękne co niem jest, lecz to co się podoba“ ma naprawdę głębszy podkład psychologiczny. Ale postaramy się tę orjentację przeprowadzić od strony przeciwnej, to jest pokazując śmieszne strony obrazków sportowych, czyli oglądając całe zagadnienie okiem karykaturzysty i humorysty. Zamieszczone ilustracje wykażą z jednej strony harmonję i urok prawdziwego „sportsmeństwa“, z drugiej zaś śmiesznostki wyczynów, które ze sportem nie mają nic wspólnego, a są tylko niedowarzonym snobizmem. Wiedząc jak dużo posiada Polska prawdziwych kobiet-sportsmenek nie obawiamy się o uchwycenie objektywem fotograficznym prawdziwie estetycznych epizodów sportowych.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 3 **Niedziela 19 stycznia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 3-GO:

SMOK POKAZUJE SWE SKARBY.
Sztuka Chin przemówiła do Europy swemi przeszło trzy tysiącami eksponatów na wystawie o światowej doniosłości w Londynie. Str. 4—5.

CORAZ CIAŚNIEJ LUDZIOM NA ZIEMI.
O możliwości skolonizowania niedostępnych dla nas obecnie terenów, które w przyszłości staną się może „smacznym kęskiem". Str. 6.

HISTORJA R. 1935 W ZNACZKACH POCZTOWYCH.
Współczesna kronika „kopertowa" jest nietylko wysoce pouczająca, ale również posiada duże wartości artystyczne. Str. 8.

W SZPONACH ETYKIETY.
To co pozostało z ustroju średniowiecznego w dzisiejszej Europie spotkać możemy w postaci dworskiego ceremonjału, który w wielu jeszcze krajach odgrywa poważną rolę. Str. 11—12.

BIŻUTERJA POD LUPĄ.
Jakie znaki zobaczymy, gdy przyjrzymy się dokładniej przedmiotom złotym i srebrnym i co oznaczają niezrozumiałe dla nas hieroglify? Str. 14—15.

JAK DWIE KROPLE WODY...
Ciekawe łamigłówki optyczne, z któremi spotykamy się nieraz w życiu. Str. 16—17.

ZDOBYWCA STRATOSFERY „INTIME".
Garść anegdotek o prof. Piccardzie, który należy do wysoce oryginalnych i dowcipnych ludzi. Str. 18.

HISTORJA JEDNEGO PRZEDPOŁUDNIA.
Tragikomiczne tarapaty człowieka, który chce załatwić wszystkie formalności urzędowe. Str. 19—20.

Nasz przebój muzyczny: „PRZYJDŹ KOCHANIE". Boston F. Głowackiego. Str. 22.

GŁÓWKI W LOCZKACH.
O tajnikach damskiej fryzury i o sposobach stworzenia oryginalnych i estetycznych kreacyj. Str. 27—28.

Powieść. — Nowela. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Konkurs na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor i rozrywki umysłowe. — Nowe książki. — Na scenie. — Program radjowy.



Karnawał się rozpoczął, to też mimo niezbyt pogodnego horyzontu polityczno-gospodarczego zaczął się korowód bali, skupiających tych wszystkich, którzy szukają jeżeli nie rozrywki, to zapomnienia. Wielkim ewenementem w bawiącym się światku był Bal Mody, który odbył się ostatnio w Warszawie w pięknych salonach hotelu Europejskiego. Oczywiście, że jedną z głównych atrakcyj balu byli artyści scen warszawskich i znane z elegancji panie i panowie. Na naszym zdjęciu widzimy uroczą Lucynę Szczepańską z wytwornym Jerzym Olgierdem, Halinę Radlińską oraz Krystynę Łuszczewską tańczącą z Witoldem Zdzitowieckim. *Fot. „AS"*

SMOK POKAZUJE SWE SKARBY...

największa wystawa sztuki chińskiej



U wejścia do wystawy sztuki chińskiej znajdującej się w Londynie w Burlington House wita zwiedzającego olbrzymia postać Buddy, pochodząca z VI wieku ery chrześcijańskiej.

Burlington House — dom wystaw Królewskiej Akademji Sztuk w Londynie jest obecnie na ustach miljonów ludzi. Tam przed oczami zdumionych białych, otworzył się nowy świat piękna, kwitnącego już od tysiąca lat. Rzeźby, bronzy, malarstwo, rysunki, manuskrypty, ceramika, porcelana, tkanina, dywany i laki! Te przejawy sztuki chińskiej — po raz pierwszy zebrane w takiej ilości pokazują, jak tworzył ten naród o 35-wiekowej cywilizacji i kulturze. Tak kompletnej wystawy dotąd nigdzie i nigdy nie było. Po raz pierwszy rząd chiński użyczył bezcennych skarbów, które składały się na zbiory cesarskich pałaców „Zakazanego Miasta", dzielnicy Pekinu.

„Bezcenne" — oto jedyne określenie! a zewnętrznym dowodem tego jest fakt nieubezpieczenia eksponatów na czas transportu przez rząd chiński, jako nie dających się oszacować! Okręt wojenny H. M. S. Suffolk dumnej marynarki króla Wielkiej Brytanji przewiózł te dzieła sztuki pod opieką kilku chińskich znawców. Samo wypakowanie zabrało tygodnie i okazało się, że z setek objektów, ani jeden nie został uszkodzony. Czyż można się dziwić, że pakowanie było mozolne i bardzo długie? Przed wysyłką każdy kawałeczek był opisany i sfotografowany, a przy wypakowaniu w Londynie kontrolowany (także przez urzędników celnych). Nietylko Chiny, lecz również kilkadziesiąt innych państw i zbieraczy zaznaczyło swój udział wieloma arcydziełami, jak np. król Jerzy, cesarz Japonji, Sowiety pożyczyły tysiącletnie; świeżo odkryte jedwabie i roboty w złocie, książę szwecki, rządy Francji, Niemiec, Turcji, Austrji, Holandji etc. Sławne zbiory Eumorfopulosa, Morgana (sławna rubinowa waza), Rockefellera i tylu innych złożyły się na to, by przygotować widzom jedyną w swoim rodzaju ucztę duchową. Trzydzieści pięć wieków sztuki! Gdzież myśmy byli wówczas z naszą zachodnio-europejską cywilizacją? My, którzy śmieliśmy odnosić się do Chińczyków, jak do barbarzyńców, do narodu, którego pierwszy ambasador w Europie miał drzewo genealogiczne, sięgające tysiące lat wstecz! — Czyż nie mieli racji Chińczycy, gdy nas, Europejczyków, nazywali zachodnimi djabłami? O, mieli aż nadto wystarczające powody. Wspomnę tylko wrzesień 1860, kiedy to francusko-angielska ekspedycja splądrowała i spaliła pałac cesarski koło Pekinu. Jako zwrot kosztów obydwa rządy otrzymały jeszcze 90 miljonów ówczesnych franków!

Poniżej: Obraz nieznanego artysty na jedwabiu z X wieku ery chrześcijańskiej.



Chiny, założone przez bajecznego Fohi, państwo o historji, sięgającej 53 wieki wstecz, rozpostarły swoje skarby przed oczyma Europejczyków, i... jeden okrzyk podziwu przeszedł przez prasę świata. Szesnaście sal wzorowo zapełnionych przemówiło!

Sztuka, odtworzenie wewnętrznych przeżyć formą i kolorem, daje najlepszy obraz duszy narodu. Specjalnie sztuka dalekiego Wschodu źródła swe ma głębiej niż jakakolwiek inna, u jej początku zdają się zbiegać wszelkie przejawy zmysłów ludzkich, serca i umysłu. Czyż nie tam właśnie jest połączenie rozumu i serca? Nie! Ta sztuka jest przemyślaną, a jednocześnie bije z niej ciepłą strugą uczucie głębokie, kulturalne. Tak, kulturalne, bo tylko głęboka, wrodzona kultura potrafi wypowiedzenia serca i duszy unormować, dać im formę, a mimo to nie zabić świeżości odruchu spontaniczności. W sztuce tej natura tworzy jedną całość; czy skały, woda, czy rośliny, zwierzęta — wszystko łączy się w nierozerwalną jedność.

Natura martwa nie jest tylko tłem. Nie! Łączy się z naturą żywą i daje sumę wrażeń, których wchłanianie jest rozkoszą na długi czas. Sprawdza się tu to, co powiedział Wilde o książkach: „Książkę, której się nie chce czytać po raz drugi, nie warto było czytać wogóle". Tak i tu dzieła sztuki chińskiej ogląda się dowolną ilość razy i wciąż wzbudzą nowe uczucia. Ale rozkoszować się może tylko ten, kto wyzbył się supremacji rozumu, dusza jego wtedy brzmi resonansem, podświadomość wyzwala się, odczuwa piękno harmonji, połączonego umysłu i serca. Wystawa ta jest obrazem duszy dalekich Chin, narodu 450-miljonowego, który o wiele za mało był znany. Jest on dużym krokiem naprzód w kierunku ocenienia i zrozumienia głębi jego filozofji i uczuć. Zrozumienie to poprzez sztukę nie jest łatwe, bo w chińskiej sztuce dużą rolę gra symbol. Tam, gdzie my widzimy wiązkę kwiatów, tam wtajemniczony widzi prócz tego uosobienie jakiegoś zdarzenia lub abstrakcji. W malarstwie widzi poezję. Ta druga część jest dla nas zamknięta, ale i ta pierwsza połowa wystarczy.

I publiczność — ta szeroka masa, nietylko kilku znawców — zareagowała. Wystawa ma niebywały sukces. Zewnętrzną oznaką, wpra-

Naczynie do herbaty z białego jaspisu, pochodzące z XVIII wieku.



wdzie prozaiczną, ale o szerokim zakresie, jest wyraz uczuć mas: mianowicie moda nastawiła się na pastelowe kolory malarstwa chińskiego, a zarzuciła dotychczasowe jaskrawe. Terracotta, jaspis, opal w Londynie dominują. Bo też gdyby się chciało określić ogólny ton wystawy, to w przybliżeniu możnaby go nazwać: beige. Nie dowodzi to monotonji, nie, harmonja nie jest nudną, a przytłumiony ogień zostaje ogniem, który parzy i wznieca pożary.

Jeżeli sztuka wyraża się w formie i kolorze, to sztuka chińska jest rewelacją pod obu względami. Wchodzi się na wystawę dużemi schodami i pierwszy wita gościa olbrzym 7-metrowy Budda z marmuru (6 wiek), wita z pogodnym uśmiechem, zdającym się pocieszać: „niczem są twe smutki wobec wieczności — sztuka to jej zwierciadło. Chodź i poddaj się urokowi, urokowi dzieł, opartych na pokoju, cnocie i miłości". Tak określił sztukę swego kraju pewien Chińczyk i nie mogę znaleźć lepszej, a krótszej syntezy.

Wchodzimy: tysiące eksponatów (dokładnie 3.080) łączy w sobie wystawa. Co wybrać by opisać? Czy który z sennych pejzaży — rysujące się wśród mgieł dzikie skały, zarysy domów o charakterystycznych dachach, rozrzucone gaje, cudne w rysunku drzewa, każde z nich — mimo, że w grupach — indywidualnie ujęte, trawy, roślinki na porwanych rwącym strumieniem brzegach. Czy te góry po deszczu? Tyle, tyle ich jest i to z czasów największego rozkwitu pejzażu z XII i XIII wieku. Czy wybrać tego rybaka, co w zimowy dzień łowi ryby i skulony chucha w ręce? Śnieg mu pokrył słomiany kapelusz. Naokoło liście krzewów, kolcami z pod śniegu całą grozą zimy drogę zagradzają. Zimno! A bez ryb nie może wrócić do domu. Tragedja człowieka, zmuszonego do walki z losem i naturą. Obraz ten należy do najstarszych — pochodzi z X wieku. Albo te kaczki na śniegu: ruch i koloryt świadczy o mistrzowskiej ręce. I rzeczywiście, to jeden z największych malarzy ptaków, Lu Chi z XV wieku. Na pierwszym planie drzewa o cienkich, obciążonych szronem i śniegiem gałązkach. Kaczki jedne czyszczą piórka, inne skulone odpoczywają, a tamta odważna właśnie wchodzi do wody. Ptaszek na gałęzi, doskonały w ruchu, przypatruje się zdziwiony. I mamy tu jedyny wypadek europejczyka, który przejął się manierą chińską i tworzył tak piękne dzieła, że zdobył sobie specjalne uznanie cesarza. Był to Jezuita Giuseppe Castiglione, zwany Lang-Shih-Ning. Tworzył na początku XVIII wieku.

Ogromne bogactwo tematów, rozmaitość techniki! Tylko spojrzeć uważnie, widać, że technika nie była dziedziczną, nie szła utartą drogą, każdy mistrz tworzył w gruncie rzeczy inaczej. Jakby na dowód, że to było — przeszło i tylko nowe ujęcie daje miejsce na Parnasie.

Wystawę podzielono na okresy, zbiegające się z panowaniem pewnych dynastyj. Określając datę pewnego dzieła sztuki Chin mówi się, że ono pochodzi np. z czasów dynastji T'ang, to znaczy 618—906, albo dynastji Ming 1368—1644, Ch'ing 1644—1912 itd.

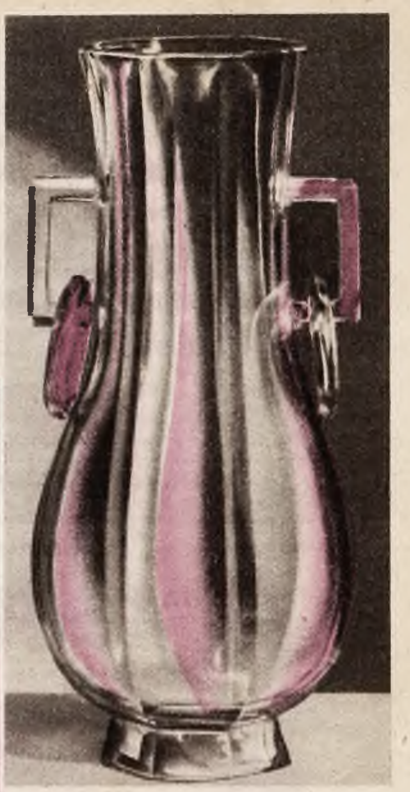
W pierwszej sali zebrane są dzieła najstarsze, aż do 200 przed nar. Chr. Rozłożono tam ceramikę, bronzy i początki rzeźby, no i prace w jaspisie. Zadziwiające, że najdawniejsze bronzy już wykazują wysokie opanowanie sztuki tak, że widz pyta się mimowoli, kiedyż ten naród uczył się, jeżeli tysiące lat wstecz już tworzył wielkie dzieła w tym trudnym materjale?

Sala trzecia przedstawia okres — jaki wielu twierdzi — największego rozkwitu sztuki, podczas panowania dynastji T'ang 618—906. Tu widzimy najstarsze malowidła. Dziewiątą salę udekorowano w efektowny sposób dywanami, obiciami itd. W środku na podwyższeniu stoi cesarski tron z laki (podłużna skrzynka na niskich nóżkach ze zwężonem przejściem u góry), na tle wspaniałego parawanu, po bokach pagody, a z tyłu na ścianie makata. Sławny jest obraz na jedwabiu 11 mtr. długi „10.000 mil rzeki Yangtse" przez Hsia Kuei, koniec wieku 12 z cesarskich zbiorów.

Liczne okazy ceramiki z najwcześniejszych początków, koniec dynastji H'ang i potem okres innych sześciu dynastyj (220—589). Wtedy to zaczął się wyrób porcelany prawdziwej, rozwijający się w czasie X—XIII wieku (dynastji Sung-Sung). Figurki z tego najdawniejszego okresu już wykazują świetne oddanie ruchu. Czy pies szczekający, uchwycony w momencie, jak przysiadł, by zaraz podskoczyć do góry, czy ten mężczyzna: na jednej ręce siedzi mu ptaszek, któremu tu w drugiej daje coś do jedzenia. Charakterystyczne pochylenie głowy zdaje się mówić: „Bądź grzeczny, a dostaniesz coś dobrego". Bardzo dużo wyrobów z jaspisu — zachwyca zwiedzającego. Tyle harmonji w kształcie, miękkie modelowanie, ornamentyka, dostosowana do kształtów, bez przeładowania. Chińczycy byli mistrzami w opanowaniu tego trudnego kamienia, dostosowaniu się do charakteru danego objektu. Oczywiście nie brak na wystawie wielu dzieł i z innych działów sztuki, jak majolik, rzeźb w kości słoniowej, prac w złocie i srebrze itd.

Daleki Wschód nie jest nam całkiem nieznany, ale Chiny? Może najmniej wiemy na ten temat. To też najwyższy był czas, byśmy zainteresowali się tą krużą nowych wrażeń.

Jerzy Dołęga Lewandowski.



Brokat pochodzący z XV wieku należy do najcenniejszych eksponatów chińskiej wystawy.



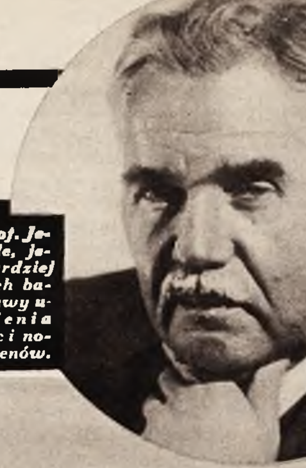


Od lewej: Tkanina chińska haftowana jedwabiem z XVII wieku. — Waza z zielonkawego jaspisu wysadzana rubinami, o motywach wziętych z kwiatu lotosu, pochodząca z XVII wieku

Poniżej: Figura terakotowa z barwną polewą, pochodząca z VII wieku ery chrześcijańskiej



CORAZ CIAŚNIEJ LUDZIOM NA ZIEMI



W kole: Prof. Jerzy Claude, jeden z najbardziej zasłużonych badaczy sprawy udostępnienia ludzkości nowych terenów.

KRAJE PODBIEGUNOWE TERENEM PRZYSZŁEJ CYWILIZACJI.

Coraz bardziej odczuwa ludzkość brak miejsca na ziemi. Cała ziemia prawie została już podzielona między różne państwa, a istniejące konflikty, a także i te, których możemy się spodziewać w najbliższym czasie opierają się na tendencji różnych krajów pozbawionych własnych kolonij do zdobycia jakiegoś terenu dla pomieszczenia nadwyżki ludności. Brak jest przestrzeni! Ludzi przybywa coraz więcej, jest ich już dzisiaj ponad 2 miljardy. Nawet ubytek spowodowany przez wojnę światową został już dawno powetowany. Nie ulega już wątpliwości, że coraz bardziej będzie się kolonizowało takie tereny, które doniedawna były uważane jeszcze za nienadające się do zamieszkiwania przez ludzi. Z tych terenów stosunkowo najłatwiej „dostępne" są kraje górzyste względnie posiadające znaczne wzniesienia ponad poziom morza. W tych okolicach bowiem klimat jest najbardziej zbliżony do klimatu krajów zajętych obecnie przez rasę białą. Z tego punktu widzenia należy ocenić agresywność Włochów wobec Abisynji. Trudniejsze do skolonizowania są tereny puszcz i dżungli afrykańskich a to ze względu na cały szereg przeszkód biologicznych, wynikających z klimatu tych ziem. Posiadamy jeszcze kraje pustynne, którym należy tylko w jakibądź sposób doprowadzić życiodajną wodę, aby mogły się one stać siedzibą ogromnych ilości mieszkańców. Jako ostatnie wreszcie przypomnijmy tereny krajów podbiegunowych t. j. te kraje, gdzie panuje wieczna zima.



Oto kraina podbiegunowa, która stanie się może pożądanem terytorjum kolonizacyjnem dla ludzkości.

Poniżej: Praca nad osuszeniem bagien poleskich stanowi jedną z zadań współczesnej Polski. Oto maszyna służąca do wyrywania wyrastających drzew.



Liczni uczeni zajmują się już temi perspektywami przyszłego życia ludów na ziemi i sposobami, jak możnaby „powiększyć" kulę ziemską. Chodzi o udostępnienie tych terenów, które dotychczas były bardzo słabo zamieszkiwane, albo też wcale nie. Na naszym odcinku polskim należy wymienić prace nad meljoracją Polesia. Na skalę światową zakrojone były projekty Jerzego Claude'a genjalnego uczonego francuskiego, który chciał wyzyskać ciepło wód oceanicznych w krajach podzwrotnikowych. Wyobrażał on to sobie w ten sposób, że można będzie wykorzystać stałą różnicę temperatur wody na powierzchni morza i wody w głębokości około tysiąca metrów dla otrzymania niemal za darmo ogromnych ilości energji, któraby mogła służyć do klimatycznego udostępnienia krajów tropikalnych. Ciepła woda z powierzchni morza o temperaturze około 30 stopni C. zostałaby doprowadzona do wrzenia przy tej temperaturze w olbrzymich zbiornikach, z których wypompowano powietrze. Jak wiadomo woda wrze przy temniższej temperaturze, im mniejsze ciśnienie jest nad jej powierzchnią. Ta para wodna wytwarzana w owych kotłach uruchamiałaby olbrzymie turbiny, a po przejściu turbin zostałaby skondensowana zimną wodą doprowadzoną w głębi oceanu. Ruch tych turbin polegałby właśnie na owej różnicy prężności pary wodnej przed wejściem w turbinę i po wyjściu z niej. Doprowadzenie wody zimnej z głębi morza do turbiny nie kosztowałoby prawie żadnej pracy i wystarczyłoby zanurzyć rurę odpowiedniej długości. Jak wiadomo, w rurze zanurzonej w jakimś zbiorniku z wodą, woda sama się podnosi, według prawa o naczyniach połączonych. Jakkolwiek Claude udowodnił racjonalność i zgodność założeń swej teorji z prawami fizyki, to jednak po trzechkrotnych próbach aparaturę swoją, umieszczoną na okręcie, zatopił, gdy po raz trzeci rura zanurzona



Nieraz już zastanawiano się nad udostępnieniem osadnictwu licznych pustyń Afryki.

w wodzie pod wpływem uderzeń wzburzonych fal morskich się załamała. Okręt ten umieszczony był w pobliżu stolicy jednego z państw południowo-amerykańskich i miał wytwarzać lód. Jak wiadomo, w krajach tropikalnych „dostawa" zimna jest niesłychanie ważna i decyduje niemal o możliwości utrzymania się większych skupień ludnościowych.

Mimo niepowodzenia Claude'a nie można jednak powiedzieć, jakoby sama myśl przewodnia była pozbawiona racji bytu. Bardzo prawdopodobnem jest, że w innych warunkach i w czasie bardziej odpowiednim pomysł jego zostanie z korzyścią zastosowany.

Ciekawe jest, że zupełnie podobny pomysł wysunięty został przez innego uczonego, Barjota w celu umożliwienia osadnictwa ludzkiego w krajach polarnych. Tam znowu woda w głębi jest znacznie cieplejsza, aniżeli na powierzchni, a zatem do wytwarzania pary w kotłach, użytoby wody z głębi, natomiast woda wzięta z powierzchni morza, służyłaby dla kondensacji pary po przejściu jej przez turbinę. W tym wypadku oczywiście, energja wytworzona, służyłaby przedewszystkiem do wytwarzania ciepła, gdyż w krajach tych przedewszystkiem potrzeba ciepła. Wytworzone ciepło mogłoby być podstawą powstania osiedli ludzkich i mogłoby umożliwić ludziom przetrzymanie ciężkiego okresu zimowego, który w tych okolicach trwa tak długo. Niewiadomo jeszcze, czemby się zajmowali ludzie, zamieszkali w krajach polarnych. W każdym jednak razie wiadomo, że w wielu miejscach, położonych w tych stronach, znajdują się bardzo cenne złoża mineralne, które nie mogą być eksploatowane z powodu niekorzystnego klimatu.

Jakakolwiek będzie przyszłość projektu Barjota, to w każdym razie ludzie nie zakładają rąk i nie poprzestają na samym pomyśle wyzyskania różnicy temperatury wody. Wiadomą jest rzeczą, że w krajach podbiegunowych panują stale ogromnie silne wiatry, które właśnie można, zdaniem prof. Debenhama użyć dla umożliwienia życia ludzkiego pod biegunem. W Rosji próbują już obecnie w najniedostępniejszych okolicach syberyjskich stawiać olbrzymie wiatraki, które mają zamieniać energję wiatrów na energję elektryczną. Energja elektryczna zaś byłaby podstawą rozwoju życia na tej ziemi. Pomysł wyzyskania wiatrów polarnych jest bezwzględnie bardzo ciekawy, ludzkość bowiem walczy najczęściej z przyrodą jej własną bronią, którą zostaje atakowana. I w tym wypadku dotychczasowy wróg zamieniłby się w największego przyjaciela.

Kto wie, czy w poruszonych przez nas wyżej zagadnieniach wyzyskania różnicy temperatur morza i siły wiatrów, nie znajdują się ostatnie rezerwy znękanej ludzkości, która już teraz zaczyna dusić się na maleńkiej planecie ziemskiej. **Inż. A.**

CIEKAWE DROBIAZGI

„ZACISZNY KĄCIK" W STOLICY FILMU



Jak wiadomo punktem honoru Hollywood jest, aby wszystko w tem mieście miało niespotykany gdzieindziej wygląd i nacechowane było swoistą egzotycznością. Spotkać się więc można z budynkami i dziełami sztuki, które wszędzie zasługiwałyby na nazwę „zwarjowanych". Oto naprzykład istnieje tam restauracja zbudowana w postaci psa, co zresztą tłumaczy się tem, że sprzedają tam specjalny rodzaj parówek, zwanych „hot dog", tj. „gorące psy".

WYDANIE KIESZONKOWE MAŁPY.



Wśród miłośników zwierząt wielka „popularnością" cieszy się Beppo, małpka urodzona w Brazylji, która obecnie jest w wieku „męskim", posiadają „już" 18 mies.! Właścicielka Beppa p. Yvonne Cane z Hoddeston (Anglja), jest szczerze przywiązana do Beppa i twierdzi, że małpka ta jest najmniejszym egzemplarzem swego gatunku na całym świecie. Oto jak Beppo spożywa ranne śniadanie siedząc w filiżance.

KRÓL ZWIERZĄT NA STOLE OPERACYJNYM.



W Hollywood dokonano ciekawej operacji na królu zwierząt wspaniałym lwie afrykańskim „Pal-u", nie mającym jednak nic wspólnego z PAL-em warszawskim! Jedynie transfuzja krwi mogła uratować zwierzę, to też szukano przez dłuższy czas lwa, którego krew można było zastrzyknąć choremu Palowi. Wkońcu znalazłszy odpowiednie zwierzę, utoczno mu ćwierć litra krwi, która zasiliła organizm pacjenta. Jak stwierdzają wszyscy którzy byli u łoża boleści lwa, Pal zachowywał się nadwyraz mądrze, rozumiejąc, że chwilowy ból przyniesie mu wkrótce dużą ulgę. Tem zachowaniem przypomniał zresztą swego przodka, o którym mówi bajka, że dał sobie spokojnie małemu chłopcu wyrwać z łapy duży kolec i do końca swych dni zachował dla chłopca szczerą wdzięczność.

JEDEN Z „ZABYTKÓW" NOWEGO JORKU.



Stany Zjednoczone, nie posiadając w tej mierze co Europa, zabytków przeszłości, starają się brak ten zastąpić tworzeniem „zabytków" o zupełnie odmiennym charakterze, które przedewszystkiem mogą zainteresować swoją egzotycznością. Jak wiadomo, Ameryka odznacza się zamiłowaniem do rzeczy wielkich, o ile możności gigantycznych. Oto w barze nowojorskim, który należy do słynnego boksera, Jack Dempsey'a, znajduje się największa księga gości, jaka kiedykolwiek istniała, zawierająca bardzo wiele ciekawych podpisów osobistości, które odwiedziły tę restaurację. Jest to rodzaj współczesnej kroniki amerykańskiej, która bezwątpienia za lat sto nabierze dostojnej „patyny".

HISTORJA ★ 1935 ★ ROKU

W ZNACZKACH POCZTOWYCH

Może się zdawać komuś, że znaczek pocztowy to rzecz błaha i małowartościowa. Wiadomo jednak, że pozory najczęściej mylą. Ministerstwa poczt wszystkich krajów cywilizowanych uwidaczniają każdy ważniejszy przejaw życia politycznego, gospodarczego, naukowego specjalnemi serjami znaczków. To też stają się one „niepisaną", obrazową historją współczesną.

W znaczkach pocztowych odbijają się cechy charakterystyczne każdego narodu: konserwatyzm angielski, temperament włoski, artyzm francuski. O obecnych markach rosyjskich powiedzieć można, że są to „bohomazy", a mógł je wydać tylko bolszewik. Znaczki szwajcarskie wskazują wyraźnie, że kraj ten nie doznaje żadnych wstrząśnień politycznych ani gospodarczych, itd. itd.

To, że rok 1935 był rokiem kryzysu gospodarczego i zniżki cen będzie wiadomem każdemu filateliście w przyszłości. Tylko obniżka porta mogła bowiem zmusić polskie ministerstwo poczty do przedrukowania wspaniałych znaczków za 80 gr i 1.20 zł. na niższe wartości, tosamo można było zaobserwować i w innych krajach! Najważniejsze wydarzenie na samym początku roku to plebiscyt w Saarze, wynik głosowania przynosi bezapelacyjne zwycięstwo Niemiec; jeszcze przed decyzją Ligi Narodów wydają oni znaczki z napisem „Saar kehrt heim!" Nasz zachodni sąsiad znajduje się po przewrocie hitlerowskim, w stadjum konsolidacji i po zniesieniu więzów ograniczających zbrojenia staje się odradzającą potęgą. Swastyka, która ma być oznaką połączenia wszystkich Germanów, a która — jakby w prawdziwej analogji — była ukryta przedtem w znaczkach pocztowych jako znak wodny, pojawia się obecnie jako motyw prawie zasadniczy!



1. Znaczek południowej Afryki wydany z okazji jubileuszu Jerzego V. 2. Ks. Eugenjusz Sabaudzki na znaczkach austrjackich. 3. Igrzyska zimowe w Garmisch na znaczkach niemieckich. 4. i 8. Znaczki U. S. A. z pięknymi widokami. 5. Pamiątkowe znaczki włoskie z okazji stulecia założenia medalu dla zasługi wojskowej. 6. Zbudowanie okrętu „Normandie" odbito się również w filatelistyce. 7. i 9. Na stulecie kolei żelaznej Rzesza niemiecka wydała pamiątkowe znaczki. 10. Znaczek wydany z okazji powrotu Zagłębia Saary do Rzeszy.



1. 500-lecie parlamentu Szwecji uwieńczono na całej serji znaczków. 2. Znaczek z rzeźbą Wita Stwosza zaopatrzono nowym drukiem, zniżając wartość. 3. Jeden z serji znaczków holenderskich, przedstawiających wybitnych Holendrów.

Na północy Szwecja święci jubileusz 500-lecia istnienia parlamentu „Riksdagen". Kilka znaczków przedstawia siedzibę tegoż w najrozmaitszych okresach czasu. — Czy nie jest to dowodem doskonałości tej formy rządu, skoro przeżyła ona tak wielkie zmiany gospodarcze, jakie się w ciągu pół wieku dokonały?



Tragiczny zgon królowej Astrid upamiętniono wydając specjalny znaczek z jej podobizną.

Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski umiera: w żałobie narodowej bierze udział również i poczta polska. Biust Marszałka w czarnych ramach figuruje na znaczkach opłaty i rozchodzi się po całym świecie, uwidaczniając wszystkim, że ten człowiek był dla Polski kimś równie wielkim, jak dla Jugosławji król Aleksander Zjednoczyciel lub dla Niemiec prezydent Hindenburg. W numerze „Asa" poświęconym Marszałkowi reprodukowaliśmy już wszystkie znaczki z Jego podobizną, uważamy, że M. P. i T. musi i do bieżącej serji dodać conajmniej jedną wartość z Jego portretem.

Wielka Brytanja obchodzi w roku 1935 jubileusz 25-lecia panowania króla Jerzego V. Równie wielkich uroczystości, jakie odbywały się w tym roku w Londynie, nie będzie można tak prędko zobaczyć. Potęga imperjum brytyjskiego aż bije ze wszystkich marek wydanych z tej okazji; korony, berła, wieńce laurowe, lwy podtrzymujące tron, wskazują, że Anglicy dumni są ze swego stanu posiadania. W dominjach tymczasem ludność mówiąca innemi językami niż angielski coraz bardzej upomina się o swoje prawa. Wybraliśmy też znaczek jubileuszowy ze Zach. Południowej Afryki jak najskromniej wykonany i opatrzony napisami w 2 językach, dowodzącemi, że Burowie zdobyli sobie zupełne równouprawnienie!

Mało komu jest wiadomem, że Kanada jest krajem prawie zupełnie francuskim: może to udowodnić każdy filatelista, gdyż do 1908 r. istniał na markach tylko napis: „Canada Postage", od tej daty język francuski pojawia się coraz częściej i obecnie figuruje ponad angielskim!

Włochy przygotowują się do wojny — nikt nie przypuszczał, że z zatargu granicznego może rozwinąć się konflikt zbrojny — w każdym jednak razie trzeba w państwie obudzić ducha wojowniczego a i znaczki są jednym ze sposobów propagandy. Bez widocznego więc powodu (jubileusz utworzenia orderu) drukuje się długą serję, na której można ujrzeć i strzelca i lotnika, artylerzystów lub saperów, tanki czy też łodzie podwodne.

(Ciąg dalszy na stronie 31-ej).

GALERA CIENI

N*O*W*E*L*A

WANDA SKÓRCZYŃSKA

ILUSTR. CHARLIE

— A panu, kapitanie, nie przytrafiło się nigdy w życiu nic zagadkowego?

Słowa te wymówiła z uśmiechem młoda kobieta, zwracając się do poważnego, szpakowatego mężczyzny, który siedział w kącie pokoju, przysłuchując się opowiadaniom, sypanym, jak z rękawa, przez młodzież obojga płci.

Zebrania poniedziałkowe w domu mecenasa Zelnickiego cieszyły się od szeregu lat sławą najmilszych i najciekawszych w całem mieście.

I tego wieczora zebrało się nas w gościnnym domu przy ul. Skrytej osób kilkanaście. Bawiono się, dowcipkowano i... flirtowano potroszę. Ale po herbacie, z niezrozumiałych, jak to zwyczajnie bywa, powodów zeszła rozmowa na zagadnienia metafizyczne, co rozpętało istną orgję opowiadań, opartych na autentycznych przeżyciach.

Wysłuchaliśmy już z cierpliwością, godną lepszej sprawy, kilku opowiadań, kiedy padły słowa gospodyni, skierowane do milczącego mężczyzny.

Ocknął się z odrętwienia.

—Coś zagadkowego? — powtórzył i dodał po chwili. — Przeżyłem wiele zagadek i zaznałem wielu przygód, nie mogę ich jednak żadną miarą uważać za wyjątkowe. Ale raz wydarzyła mi się rzecz dziwna... trudna do zrozumienia. Przypadek ten wywarł na mnie wielkie wrażenie, jakkolwiek z życiem mojem nie miał bezpośredniego związku...

Było to przed piętnastu laty. Jeszcze w czasie mojej służby we francuskiej marynarce handlowej...

Służyłem wówczas, jako porucznik na „Sainte Geneviève", jednym z okrętów, kursujących między Marsylją i Port Saidem. Statek to był nieduży, ale zbudowany zgrabnie i solidnie. Coulain i Bliss, którzy byli jego właścicielami, uważali go słusznie za prawdziwą perłę w szeregu mniejszych i większych okrętów firmy. Handlowaliśmy przeważnie owocami południowemi, ale od czasu do czasu powierzano nam przewiezienie do Afryki północnej manufaktury i wyrobów szklanych, które przez kanał Sueski wędrowały na daleki Wschód, do Anamu i Kochinchiny. „Sainte Geneviève" zaglądała czasami do Bizerty, krążyła wzdłuż wybrzeży trypolitańskich, z reguły jednak zatrzymywała się w podróży do Egiptu tylko w portach Sycylji i Rodos.

Załoga składała się z rodowitych Francuzów. Jedynie między palaczami miałem rodaka z okolic Poznania, a dwóch majtków, rosłych i dobrodusznych olbrzymów, pochodziło ze Sztokholmu. Coulain był zdeklarowanym szowinistą i nie mógł bez żalu wspominać o nieszczęsnej wojnie w siedemdziesiątym roku, w której brał udział, jako oficer strzelców i która przyprawiła go o kalectwo. Przypuszczam, że o mojej szybkiej karjerze w służbie firmy zadecydował właśnie fakt, że byłem Polakiem i że nigdy nie taiłem się ze swoją antypatją do Niemców, których i on nienawidził całą duszą.

Wyruszyliśmy z Marsylji, o ile się nie mylę, osiemnastego października i w dniu tak dla mnie pamiętnym znajdowaliśmy się w pobliżu Sycylji, od której dzieliło nas, conajwyżej, osiem godzin jazdy.

Rano zerwała się wielka i hałaśliwa burza, która trwała prawie do dziesiątej wieczór. Wiatr był tak silny, że na powierzchni morza nie mogły się tworzyć większe fale, gdyż pęd powietrza zrywał czub każdego bałwana i ciskał go o kilka lub kilkanaście metrów dalej. Morze, tak dobrze mi znane, było zasnute mgłą, za wyjątkiem niewielkiego półkola tuż przed naszemi oczyma, gdzie kłębiły się i przewalały z szumem potoki piany. Huragan, morze i tumany brudnej mgły, wszystko to pędziło na wschód, ku jakiemuś tajemniczemu celowi, a plusk deszczu i ciche zawodzenie lin okrętowych, napinających się przy każdym podmuchu wichru tworzyły monotonny akompanjament dla dzikiej i nieokiełzanej muzyki żywiołów. Od czasu do czasu odzywał się ogłuszający ryk naszej okrętowej syreny, a czasem z oddali przyleciało na skrzydłach huraganu echo podobnych sygnałów ostrzegawczych, które szukały się w przestrzeni, jak macki i ginęły bezpowrotnie w bezmiarze wód.

„Sainte Geneviève" płynęła, jakby naoślep, ale dzięki sprzyjającemu wiatrowi nie zbaczała z wyznaczonego kursu.

Objąłem służbę o ósmej wieczór, w chwili, kiedy burza zaczęła już przycichać. Duclos, drugi porucznik, który upadał ze zmęczenia, zeszedł do kajuty, aby odpocząć, a na pokładzie pozostał ze mną stary Hilaire, kapitan okrętu, jeden z najzacniejszych ludzi, jakich znałem, człowiek, którego szanowałem, jak ojca i który był mi też prawdziwym ojcem w ciągu długich lat, spędzonych na obczyźnie.

— Brzydki czas — odezwał się, gładząc swą siwą brodę i spoglądając na mnie zmęczonemi oczami. — Ale to się już kończy... Nie takie burze przeżywało się dawnemi czasy.... — Hilaire spędził szereg lat w kolonjach, jako oficer marynarki wojennej i ulubionym tematem jego opowiadań były wspomnienia z czasów pobytu na wodach Oceanu Indyjskiego.

— Biedny Duclos zaledwie powłóczy nogami... — rzekłem. — Ale „Sainte Genevière" spisała się doskonale.

— Jak zawsze, mój drogi..., jak zawsze.

Deszcz przestał padać, ale wicher dął jeszcze z niepohamowaną siłą. Mimo to mgła, która otulała nas grubym całunem przez cały dzień, zdawała się gęstnieć. Być może jednak, że zapadająca noc i gorsze warunki oświetlenia sprawiały, że otaczające statek obłoki przybrały teraz odcień szary i złączyły się jakby w jedną, zwartą całość, odcinającą nas od świata zewnętrznego. Rzecz ciekawa, że ku końcowi burzy, a więc już o zmroku, ten mglisty całun, spowijający statek wraz z nami, zdawał się coraz bardziej usuwać z bezpośredniego jego sąsiedztwa tak, że płynęliśmy, jakby w kręgu, zamkniętym ze wszystkich stron grubym murem białawych, łączących się ze sobą ściśle obłoków. Światła, które padały od strony statku na ten białawy, otaczający nas pierścień, wykazywały, że między ruchomą ścianą mglistych oparów, a szlakiem, którym płynęła „Sainte Geneviève", znajduje się wolna przestrzeń, przestrzeń jakich trzystu ulb czterystu metrów kwadratowych. W kręgu tym morze było zupełnie gładkie i spokojne, a na powierzchnię jego padała dziwna poświata, zdawająca się przenikać spośród gęstych tumanów mgły, które przybierały stopniowo barwę mleczną. Mimo, że promienie księżyca nie mogły przebić się przez gęste chmury, wiszące nad naszemi głowami, cała ta przestrzeń skąpana była w potokach białawego światła, które umożliwiało rozróżnienie najdrobniejszych szczegółów nietylko na statku, ale i w jego bezpośredniem otoczeniu. Doznałem wrażenia, jakby „Sainte Geneviève" znalazła się nagle wraz z całą załogą w okolicach podbiegunowych i jakbym przeżywał znowu jedną z tych „białych nocy", które w czasie służby na „Waregu" tak bardzo mi się dały we znaki. Złudzenie było tem większe, że zrobiło się nagle zimno i to tak zimno, że zacząłem drżeć na całem ciele.

— Coś podobnego... — odezwał się nagle Hilaire, który od trzech godzin dotrzymywał mi towarzystwa, ilekroć pojawiłem się na pokładzie. Biedak, cierpiał od dłuższego czasu na bezsenność i skorzystał ze sposobności, aby odetchnąć świeżem powietrzem przed udaniem się na spoczynek.

Przerwał mu ryk naszej syreny okrętowej. Po kilku minutach, kiedy przebrzmiało echo sygnału ostrzegawczego, podjąłem wątek rozmowy:

— Nie widziałem nigdy podobnej mgły... Jesteśmy, jak poczwarki w kokonie...

— Dziwna noc... dziwna — szepnął i splunął na wodę. — Ta niesamowita jasność, której źródła nie widzę, przyprawia mnie o lęk. Która godzina?

— Już dawno po północy — rzekłem, spojrzawszy na zegarek.

Rozmowa nie kleiła się. Kilkugodzinna burza i zmaganie się z gniewnym żywiołem zmęczyło nas i wyczerpało nerwowo. Wsłuchiwałem się z naprężoną uwagą od kilku godzin w dolatujące do naszych uszu gdzieś z oddali nieokreślone szmery tej dziwnej, niezwykłej nocy, które przyprawiały o rozdrażnienie, z którego trudno było zdać sobie sprawę, gdyż przyczyny, wywołujące je, były równie nieuchwytne i niesamowite, jak ta biała jasność, odgraniczająca nas od świata zewnętrznego. Statek nasz sunął, jak widmo, w ruchomym kręgu mgieł, ale i bezpośrednie jego otoczenie, ta przestrzeń wodna, ograniczona ze wszystkich stron ścianami gęstych oparów, miała w sobie coś nierzeczywistego, widmowego, coś tak odległego od ludzi i życia. Spoglądałem z dreszczem zgrozy na zamykające nam drogę gęste obłoki, jakbym się lękał, że lada chwila pochłoną nas i unicestwią. A jednak mgły usuwały się z drogi i między gęstym ich murem, a miejscem, w którem w danej chwili znajdował się nasz statek, była stale przestrzeń wolna, niby arena, na której rozegrać się miały jakieś niezwykłe wydarzenia. Wrażenie to było tak przejmujące, że zacząłem zwolna oswajać się z myślą jakiejś katastrofy, wypatrywać czegoś, czego nie umiałem nazwać,

a co musiało znajdować się gdzieś w bezpośredniem naszem pobliżu.

Spojrzałem na Hilare'a. Na czole jego widniały mimo przejmującego chłodu grube krople potu. Podszedł i chwycił mnie za ramię.

— Jestem chory — rzekł. — Gdybym się nie wstydził, musiałbym chyba przyznać, że się boję...

Zdobył się na blady uśmiech.

W tej chwili odezwał się znowu ryk syreny.

— Przeklęta mgła! — mruknąłem.

Staliśmy, wsparci o parapet, wpatrując się zmęczonemi oczyma w białą, mleczną noc. Maszyny „Sainte Geneviève" pracowały sprawnie i szum wody, rozbijanej przez śrubę okrętową był dla mych znękanych nerwów prawdziwem ukojeniem. Stanowił przecież dowód naszego istnienia, naszej żywotności w tym martwym, białym kręgu niesamowitego światła znikąd.

Mijały w milczeniu minuty i kwadranse, a rozdrażnienie moje rosło. Trwaliśmy w głębokiej zadumie, jakby na pogrzebie drogiej osoby, z której stratą nie można się pogodzić. W głębi mej duszy snuły się wspomnienia o treści nieokreślonej... zdawało się, obce, ale i bliskie zarazem. Zapiąłem płaszcz i podniosłem kołnierz. Było coraz chłodniej...

— Boże! — krzyknął nagle Hilaire i zamarł w bezruchu. Oczy jego, szeroko otwarte, spoglądały przed siebie z wyrazem przerażenia. Odwróciłem głowę w stronę, skąd zdawało się grozić niebezpieczeństwo... I osłupiałem również.

Z pośród tumanów gęstej mgły, która tworzyła zbitą ścianę, otaczającą przestrzeń około czterystu metrów kwadratowych wokół „Sainte Geneviève", wyłonił się nagle jakiś dziwny statek.

Zjawił się w obrębie wielkiego, ruchomego kręgu, skąpanego w białej poświacie, który mknął z nami od kilku godzin ku wschodowi, płynął jednak tuż pod grubym murem oparów tak, że widać go było zrazu niewyraźnie i tylko bystre oczy marynarza ocenić mogły, iż chodzi nie o błądzący po morzu wrak, ale statek, utrzymany w dobrym stanie. Okrzyk przerażenia zamarł na moich ustach, kiedy spostrzegłem, że tajemniczy okręt nie zmierza w naszą stronę, ale że płynie równolegle do szlaku, jakim zdążała „Saint Geneviève" i że zachowuje stale tę samą odległość. Nie ulega wątpliwości, że dzieląca nas od niego przestrzeń była wystarczająco duża, aby umożliwić przeprowadzenie każdego manewru, któryby miał na celu niedopuszczenie do dalszego zbliżenia się i ewentualnej katastrofy. Ale o zderzeniu się statków w danej sytuacji mowy być nie mogło.

Dzięki niesamowitej jasności, która utrzymywała się w obrębie otaczającego nas pierścienia mgieł, oba okręty nie płynęły po omacku, a kierunek, w jakim podążał nasz towarzysz i stała odległość, jaka nas od niego dzieliła, zdawały się świadczyć, że załoga nieznanego statku manewruje w ten sposób, aby uniknąć zderzenia się z „Sainte Geneviève". Było to jednak tylko złudzenie.

Dłuższa obserwacja i baczna uwaga, z jaką śledziliśmy wraz z kapitanem ruchy tajemniczego przybysza, wykazały, że zdąża on wprost przed siebie, jakby nie liczył się z obecnością naszego statku na tych samych wodach i jakby go wogóle nie spostrzegał.

— To chyba złuda — szepnął Hilaire, przecierając oczy. — Nasi ludzie nie zauważyli widocznie obcego okrętu, gdyż nie widzę śladu zaniepokojenia.

W istocie, „Sainte Genevieve" płynęła cicho i spokojnie i gdyby nie powtarzające się od czasu do czasu sygnały ostrzegawcze, niktby nie przypuścił, że warunki atmosferyczne skłaniają do przedsiębrania środków ostrożności. Kapitan miał słuszność, tajemniczy okręt był chyba zjawą, a niezwykłe jego kształty i utrzymywanie się na pograniczu pierścienia oparów przemawiały za tem, że ulegliśmy jakiemuś dziwnemu złudzeniu. Samo zjawisko było jednak tak niezwykłe i tak przykuwające uwagę, że żaden z nas nie pomyślał nawet o przywołaniu kogoś z załogi,jakby się lękał, że czar ułudy pryśnie lada chwila i że stracimy sposobność przeżycia niezwykłej i jedynej w swoim rodzaju przygody. Trwaliśmy zatem obaj na pokładzie, wpatrując się w towarzyszący nam statek, który z każdą chwilą widać było coraz wyraźniej i który oderwał się teraz od białej ściany mgieł, wpływając na otwartą przestrzeń.

— Popatrz pan, kapitanie — rzekłem zdumiony, kiedy odległość, dzieląca nas od niego zmniejszyła się na tyle, że kształty okrętu uwydatniły się zupełnie wyraźnie. — Przecież to galera...

— Masz słuszność, chłopcze... To galera — szepnął.

Zamilkliśmy, wpatrując się szeroko otwartemi oczami w płynący statek. W istocie, kształty i wygląd jego były tak szczególne, tak nieprzypominające współczesnych okrętów, z któremi stykaliśmy się codzień na morzu Śródziemnem, że zwróciłaby uwagę każdego człowieka. W istocie, była to galera, wielka galera dwupokładowa, poruszana wiosłami. Jej gładki, pomalowany na czerwono kadłub kołysał się, wznosił i opadał na wodzie, a potężny, spiżowy dziób, zakończony trójzębem, pruł i roztrącał białe fale, ilekroć pchnięcia wioseł posuwały ją naprzód w miarowych odstępach, bez szelestu, cicho, jakby we śnie.

Z jedynego masztu spływał szeroki, purpurowy żagiel, a ponad nim widniała trzepocąca się na wietrze wspaniała flaga z tygrysem. Czerwony kadłub, czerwone wiosła i żagiel upodabniały samotną galerę do jakiegoś wielkiego, szkarłatnego ptaka, który z rozpostartemi skrzydłami i wysuniętemi szponami gotował się pochwycić upatrzoną oddawna zdobycz. Ale były to tylko pozory. Galera nie zdradzała wrogich zamiarów i nic też na statku nie świadczyło, aby załoga jego liczyła się z bliskiem niebezpieczeństwem lub grożącą walką. Płynął ku wyrkniętemu gdzieś w przestrzeni celowi spokojnie i pewnie, jakby nie zważając na otaczającą go mgłę,która tak bardzo dawała się we znaki naszemu okrętowi i która zmusiła „Sainte Geneviève" do znacznego zwolnienia kursu.

Zmarszczyłem brwi, aby przypatrzeć się lepiej załodze galery. Jeden rzut oka wystarczył, aby przekonać się, że obok ludzi, przebywających na pokładzie, znajduje się na niej znaczna liczba jeńców, przykutych do wioseł parami, nieposiadających możności swobodnego poruszania się i zgarbionych w ciężkiej, monotonnej pracy bez końca. — Jeńcy ci, pełniący czynności wioślarzy, częściowo czarni, a częściowo biali, trwali w nieustannym, fizycznym wysiłku, gdyż przechodzący się między rzędami ich dozorcy, z długiemi, plecionemi biczami, karali bezlitosnem uderzeniem każdą opieszałość, każdą próbę niezastosowania się do rozkazów. — Zdaje się jednak, że beznadziejność położenia i zupełne uzależnienie skutych niewolników od woli rozkazodawców stłumiły już dawno każdy przejaw oporu i umocniło w głuchem zobojętnieniu na złe i dobre. Nie zauważyłem ani śladu oporu, ani śladu rozpaczy lub buntu; miarowe uderzenia wioseł nie ulegały najmniejszej przerwie, a w rytmie poruszeń nieszczęsnych niewolników nie stwierdzało się żadnej zmiany.

Szczegółem charakterystycznym i może najbardziej znamiennym było zupełne milczenie, spowijające galerę i jej załogę. Z tajemniczego statku nie dolatywał do naszych uszu żaden szmer, a wszystkie czynności załogi, wszelkie zwroty okrętu odbywały się w głuchej ciszy tak, że odniosłem wrażenie, jakby przed oczyma mojemi powstała jakaś morska „fata morgana", tylko o cechach bardziej wyrazistych ze względu na jej niewielką odległość. Widziałem, jak woda rozpryskuje się pod uderzeniami wioseł, widziałem od czasu do czasu otwarte usta i groźne miny wykrzykujących dozorców, ale mimo naprężonej uwagi nie słyszałem nic, dosłownie nic...

Na przednim pokładzie krzątało się kilkunastu wojowników w skórzanych kaskach, uzbrojonych w łuki i krótkie miecze, którzy spełniali milcząco zlecenia przybranych w zbroje dowódców. Galera była okrętem wojennym — to nie ulegało wątpliwości, a charakterystyczna jej budowa i układ wioseł świadczyły, że należy ona do typu trier, znanych w starożytnej Grecji i Fenicji, typu, zmienionego i ulepszonego później przez Rzymian przez dodanie ruchomego, bojowego pomostu. Brak wszelkich wrażeń słuchowych sprawiał, że mimo szybkich i gorączkowych nieraz ruchów wojowników, czynności ich i zachowanie się przypominały raczej marjonetki, zawieszone na sznurkach, a sama galera obraz ruchomy, rzucony na srebrną płaszczyznę ekranu.

Podniosłem do oczu lunetę, gdyż warunki świetlne umożliwiały użycie szkieł i uśmiechnąłem się w duchu na myśl, że po raz pierwszy i chyba ostatni w życiu uciekam się do nich w nocy. Hilaire poszedł za moim przykładem.

Spojrzałem teraz na tylny pokład, na którym rozgrywała się jakaś dziwna scena. Tuż pod złoconą, wyniosłą figurą bóstwa — nie mogłem rozpoznać, jakie to było bóstwo — stało kilku ludzi. Milczący i zamyśleni, przyglądali się trzem przybranym w zbroje rzymskie wojownikom, w niskich hełmach z nausznikami, którzy zajęci byli rozmową na uboczu. Jeden rzut oka wystarczał, aby stwierdzić, że Rzymianie znajdowali się tu w środowisku obcem. Byli bez broni, a pewne szczegóły zdawały się uprawniać do wniosku, że nie mieli pełnej swobody działania i że ruchy ich śledzone były bacznie przez stojących opodal oficerów. Twarze oficerów tych, śniade i jakby o rysach semickich, zgoła niepodobne do rysów twarzy trzech Rzymian, świadczyły, że dzieli ich przepaść odmiennego rasowego pochodzenia i odmiennej kultury. Nie zauważyłem jednak, aby zachowanie się obu tych grup względem siebie nosiło wrogie piętno. Dowódcy okrętu, gdyż za takich należało ich uważać, spoglądali na Rzymian z szacunkiem i jakby współczuciem, a rzymscy wojownicy odnosili się do obcych raczej z zimną obojętnością.

Dopiero po pewnym czasie zauważyłem, że zachowanie się i sposób bycia trzech bezbronnych Rzymian cechuje dziwna bezradność. Zwłaszcza jeden z nich, mężczyzna w sile wieku, o śmiałej, orlej twarzy, do którego dwaj inni zwracali się zawsze z głęboką czcią, poruszał się niepewnie i stąpał, jak człowiek, który uczy się chodzić po długiej chorobie i który, czując się ograniczony w swych ruchach, doznaje wrażeń dotąd nieznanych. Obserwując go przez czas dłuższy i przyglądając się bacznie jego twarzy, przyszedłem do wniosku, że musi być ślepy.

Kiedy w kilka minut później oba statki, w następstwie nagłego uderzenia fal z boku, znalazły się blisko siebie, stwierdziłem, że przypuszczenie moje było trafnem. Miejsce powiek dolnych i górnych zajmowały wąskie pasemka czerwonawych blizn, otaczających wokół jamy oczodołów, w głębi których kryły się ledwie widoczne, martwe gałki oczne. Rzymianin był ślepcem, a wzrok musiał utracić wskutek potwornego jakiegoś okaleczenia, które z pełnego sił, śmiałego mężczyzny, zrobiło niezaradnego kalekę. Postawa jego i twarz dowodziły jednak, że upośledzenie swoje znosi z heroicznym spokojem. Duma i niezłomna energja cechowały jednak i jego dwóch towarzyszów. Jeden z nich, wysoki, rosły mężczyzna, o członkach olbrzyma, stał obok ślepca w pełnej szacunku pozie. Drugi mówił coś do niego, odwrócony ku nam plecami. Zdjął mnie dreszcz zgrozy,



Nagle wyłonił się jakiś dziwny statek...

kiedy spostrzegłem, że obaj nie posiadali prawej ręki, którą im odrąbano tuż poniżej stawu barkowego.

Ścisnąłem za rękę Hilaire'a, który przyglądał się tej niemej grupie, nie mogąc od niej oderwać oczu. Ten niezwykły obraz i milcząca scena u stóp nieznanego bóstwa na samotnej, czerwonej galerze, przemawiały do duszy mimo braku jakiejkolwiek akcji na widowni złudy, mimo sennego bezruchu, który cechował wszystkie znajdujące się na galerze postacie. Czułem się dziwnie onieśmielony i wytrącony z równowagi.

Galera płynęła w milczeniu ku północnemu wschodowi. W ciągu całej godziny, która upłynęła od chwili wyłonienia się jej z pierścienia oparów na tonącą w białawej poświacie przestrzeń wodną, trzej Rzymianie i pilnujący ich oficerowie, załoga i obsługa wioseł, rozmawiali i spoglądali na siebie, krzątali i mozolili się, wszelkie ich gesty i czyny miały jednak na sobie raczej piętno powszedniości. Nic się właściwie nie działo, nic nie przemawiało za tem, aby na galerze rozgrywał się jakiś dramat. I gdyby nie wygląd jej, gdyby nie zachowanie się dwóch grup na tylnym pokładzie, gdyby nie senne, jakby nie z tego świata ruchy niemych postaci, powiedziałbym, że uległem zwyczajnej halucynacji w chwili, kiedy naprężone nerwy odmówiły mi posłuszeństwa.

Po pewnym czasie odległość obu płynących równolegle do siebie statków zaczęła się znowu zwiększać. Czerwona galera cofnęła się pod ścianę mgieł. Kontury jej stały się niewyraźne... Przestałem rozróżniać znajdujące się na niej postacie. Tylko wielki, czerwony żagiel i spiżowe kaski rzymskich wojowników uwydatniały się od czasu do czasu, przybierając określone kształty.

Kiedy nad ranem zaczęła opadać mgła i kiedy w miejsce mlecznego, niesamowitego światła, przenikającego gdzieś w przestrzeni, wkradły się pierwsze promienie świtu, tajemnicza galera zaczęła zwolna niknąć w pierścieniu oparów. Spowijały ją i chłonęły, otulając w zimny całun śmierci. Najpierw straciliśmy z oczu wiosła, poruszane przez niewidzialnych już niewolników i kadłub galery, kryjący się w pomroce, potem przyszła kolej na lśniące okucia okrętu i spiżowy jego dziób, a wreszcie na purpurowy żagiel, symbol krwiożerczej i bezlitosnej zaborczości, która każe ludziom zwalczać się wzajemnie od wieków i na nieszczęściu drugich budować własne szczęście. Dumna flaga, na której czaił się drapieżny tygrys, zwijała się i rozwijała na wietrze jeszcze przez długi czas, ale i ona przepadła we mgle bezpowrotnie. „Sainte Geneviève" pozostała sama na falach.

Kiedy w dziesięć minut później spojrzałem na morze, już wolne od mgły, aby odszukać tajemniczą galerę, nie zobaczyłem na jego powierzchni żywej duszy... W odległości dwóch mil morskich widniały kontury sycylijskich wybrzeży i migotały latarnie pobliskiego portu. W świetle budzącego się dnia dostrzegałem każde załamanie się fali, każde zmarszczenie się powierzchni morza pod nadciągającą bryzą, ale czerwona galera i jej milcząca załoga przepadły bez śladu wśród toni...

— — — — — — — — — —

Zastanawialiśmy się niejednokrotnie z kapitanem Hilaire, co miała oznaczać niezwykła zjawa, która ukazała się nam w tę mglistą noc w pobliżu włoskich wybrzeży i kim był ślepy rzymski dowódca, którego eskortowała obca załoga w podróży na północny wschód. Być może, że się mylę i prawdę mówiąc, nie rozporządzam żadnym dowodem na poparcie mej hipotezy. Zdaje mi się, jednak, że oglądałem wówczas na własne oczy konsula rzymskiego Marka Atiliusa Regulusa, który po bitwie pod Eknomos i początkowych triumfach w Afryce w czasie pierwszej wojny punickiej, dostał się do kartagińskiej niewoli. Legenda głosi, że Regulus zmarł, jako jeniec, umęczony przez mściwych Kartagińczyków, dla których nie chciał wyjednać korzystnego pokoju za cenę własnej wolności. Obcięto mu powieki, wystawiono na słońce w beczce, nabitej gwoździami, gdzie po kilku dniach zakończył życie...

Widzę uśmiech pobłażania na ustach kilku zebranych... Wiem, co oznacza i zgóry chcę się usprawiedliwić... Historycy twierdzą, że opowiadanie o męczeństwie Regulusa jest zwyczajną bajką... Regulus zmarł w niewoli w następstwie trudów wojennych i nigdy już Rzymu nie oglądał... Możecie uważać mnie za głupca i mówić, co się wam podoba... Ja wierzę, że Regulus wrócił do ojczyzny i że go tam odwiozła wraz z dwoma towarzyszami wojenna kartagińska galera... Wierzę, że legenda o jego męce oparta jest na faktach, jakkolwiek w szczegółach może nie zgadzać się z prawdą. Czytałem, że Rzym pomścił okrutnie zbrodnię, popełnioną na swoim wodzu... Czytałem o torturach, zadanych dwom kartagińskim młodzieńcom z najszlachetniejszych rodów... To nie są bajki. Ale sądźcie, jak chcecie... ja mam swoje zdanie.

W SZPONACH ETYKIETY.

Przed występem na dworze.

Gdy spoglądamy w kinie na sceny, w których urocza aktorka, grająca dziewczynę wiejską, czy wogóle osobę „niższej kondycji", zjawia się na jakimś fikcyjnym, a niemniej nadwyraz wspaniałym dworze monarszym i nie może sobie dać rady z obowiązującym ceremonjałem, bawimy się świetnie, identyfikując się ze starymi dworzanami, lecz równocześnie pokpiwając z ceremonjału dworskiego jako takiego. Tosamo uczucie opanowuje nas, gdy patrzymy na sceny znanej opery komicznej „Madame Sans Gêne", opowiadającej dzieje skromnej praczki, która stała się żoną marszałka francuskiego cesarstwa i księcia.

Nasz krytycyzm wobec archaicznych nieco i skostniałych w swej postaci ceremonjałów, jest zasadniczo trochę platoniczny i mówiąc szczerze... na pokaz! Tak niewielu przecież ludziom zdarza się okazja bywania na dworach monarszych i spojrzenia oko w oko temu średniowiecznemu molochowi, jakim jest etykieta, że nasz sąd jest w tym wypadku dosyć abstrakcyjnym.



Uczenie się dworskiego ukłonu nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, to też Angielki ćwiczą go pracowicie przed „występem".

Nie potrzeba przypominać, że samo życie tworzy pewne formy zwyczajowe, których tylko z trudem się potem pozbywa. Gdy przeglądamy stare, pergaminowe kodeksy, ilustrowane pięknemi scenami, wziętemi z życia przeważnie dworskiego lub rycerskiego, widzimy, że i wtedy obserwowano pewne formy życiowe, symbolizujące taką czy inną myśl. Ściśle biorąc, ojczyzną ceremonjału dworskiego był kraj w średniowieczu najbogatszy i najwyżej kulturalnie stojący — Burgundja. Kraj to był duży, nadwyraz bogaty, posiadał liczne miasta handlowe, eksportujące swoje towary do całego kulturalnego



Powyżej: Zanim młoda Angielka przeżyje emocje dworskie, udaje się do fotografa celem uwiecznienia uroczystej chwili.

Na lewo: Oto jakie stroje noszą osoby mające być przedstawione królowej angielskiej, wpierw jednak ogląda je i utrwala na płycie znany fotograf stolicy.



świata ówczesnego. Dwór książęcy był jednem z ważniejszych centrów ówczesnej polityki, nic też dziwnego, że dziedziczkę tych krajów, Marję, zaślubił młody arcyks. Maksymiljan, przez co znacznie wzmógł polityczne znaczenia Habsburgów. Order burgundzki Złotego Runa stał się wkrótce najbardziej zaszczytnem i cenionem odznaczeniem chrześcijaństwa.

Przez małżeństwo Maksymiljana z księżniczką burgundzką Marją, nietylko kultura francusko-burgundzka, ale również różne drobniejsze momenty obyczajowe przeniknęły do krajów, znajdujących się pod berłem Habsburgów. Jestto nadwyraz ważny i ciekawy moment historyczny kulturalnej infiltracji. Ceremonjał burgundzki dostaje się więc do Wiednia, a następnie do Hiszpanji przez zdobycie tej korony drogą małżeństwa arcyks. Filipa z córką Ferdynanda katolickiego i Izabelli kastylskiej, Joanną. Tu więc dopiero spotykamy się z ową „hiszpańskością" ceremonjału, który zasadniczo w Hiszpanji był tylko importem. Jak dalece dworske życie w Wiedniu związane było z ojczyzną etykiety, Burgundją, świadczy choćby fakt, że do XVI wieku wielkimi ochmistrzami dworu austrjackiego byli Francuzi, jak naprzykład panowie de Croy, a również większość szambelanów, pełniących służbę na dworze austrjackim, należała do obcokrajowców.

Etykieta dworska jest jak gęsty las, w którym tylko ten się rozezna, kto zna dobrze historję danego kraju i to nietylko historję oficjalną, ale również i anegdotyczną. Dlaczego grandowie hiszpańscy przy wejściu królowej, nakładali na głowę kapelusze? — Dlaczego obowiązuje trzykrotny ukłon przed monarchą? Dlaczego podczas pogrzebu każdego cesarza austrjackiego rozgrywa się przed kryptą Kapucynów następująca scena: Wielki ochmistrz dworu trzykrotnie puka laską we wrota krypty, anonsując: „przybyła jego Cesarska i Królewska Mość, cesarz Austrji i Apostolski król Węgier, król Czech itd.", poczem następuje odpowiedź z za drzwi krypty: „Takiego nie znamy". Wtedy wielki ochmistrz prosi o wpuszczenie do kryty cesarza, którego nazywa jedynie imieniem i nazwiskiem, opuszczając wszelkie tytuły. — Trudno byłoby w krótkich słowach wytłumaczyć genezę tych form ceremonjału, które powstawały poprzez wieki.

Oczywiście, że każdy niemal kraj wyrobił sobie specjalne formy etykiety dworskiej, opierając się na własnej historji i rdzennych pierwiastkach. Pominąwszy ceremonjał burgundzki, który objął swemi wpływami nietylko Austrję i Hiszpanję, ale również Francję, najbardziej oryginalną jest bezwątpienia etykieta angielska, która jednak datuje się po większej części od Henryka VIII. Odbiega ona znacznie od etykiety hiszpańskiej przedewszystkiem dlatego, że dużą rolę grają w niej momenty, wywodzące się z ceremonjału kościoła anglikańskiego. Co jest jednak najciekawszem, to okoliczność, że etykieta dworska nie jest bynajmniej jakąś przestarzałą i przez dwór królewski społeczeństwu narzuconą formą towarzyską, lecz, że każdy Anglik rozumie dobrze zawiłości jej, a co więcej, lubuje się w nich. — Przecież angielska panna z towarzystwa dopiero od chwili, gdy jest „presented at Court", wchodzi w świat. Ta prezentacja na dworze królewskim zajmuje w pismach angielskich poczesne miejsce, rozmowy toczą się na ten temat, rodziny i przyjaciele ich denerwują się co do jego wyniku, a magazyny mód, kwiaciarki i różnego rodzaju składy konfekcyjne dobrze na tem zarabiają. Ceremonjał angielski zgodnie z charakterem Anglików, stara się ujawnić nie tyle hołd wiernopoddańczy, ile poprostu wyrazić wielki szacunek i poważanie poddanych dla króla i królowej, jak też stworzyć praktyczne i estetyczne ramy, w których monarchowie angielscy stykają się ze swym narodem.

Podobnie jak i wszystkie inne życiowe sytuacje, w życiu Anglików taksamo i prezentacja u dworu angielskiego przygotowywana jest z całą precyzją, aby wypadła, jak się należy. Przygotowania te przypominają próbę generalną w teatrze, tyle kładzie się nacisku na dobre wystudjowanie roli. A więc przedewszystkiem wybór sukni, która, jakkolwiek odpowiadać musi pewnemu określonemu typowi, to jednak musi być oryginalna, modna i efektowna. Następym punktem programu jest fryzura, a wkońcu, rzecz najważniejsza, „dyg dworski"!

Zupełnie osobna wzmianka należy się ceremonjałowi, panującemu na dworze watykańskim, a krystalizującemu się w swych dzisiejszych formach od blisko dwóch tysięcy lat. Olbrzymia ta, jedyna w swoim rodzaju, tradycja stworzyła formy nadwyraz ciekawe i estetyczne.

Oczywiście, że w miarę potrzeby i w miarę następujących zmian w technice życiowej i etykieta poddawana bywa pewnej rewizji, mimo to jednak nie tracąc swego charakteru w wysokim stopniu estetycznego i ciekawego przyczynku do kultury przeszłych wieków.

Jan Maleszewski.



Upinanie sukni dworskiej stanowi swego rodzaju sztukę.

Sporty zimowe uprawiają, jak widać, nietylko amatorzy śniegu, ale również wierni ich towarzysze — psy. Oto młoda Amerykanka wraz ze swymi czworonożnemi przyjaciółmi podczas zimowej wycieczki saneczkami (Fot. Polański, Hollywood).





BIŻUTERJA POD LUPĄ

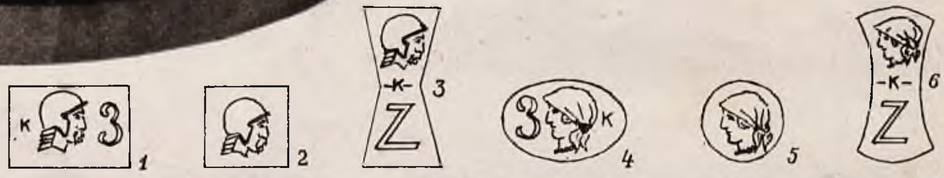
Na jednej z licznych fotografij, któremi Włochy ostatnio zasypały prasę całego świata a przedstawiających sceny ofiarowania przez kobiety włoskie obrączek ślubnych na rzecz dalszego prowadzenia wojny z Abisynją, można zauważyć urzędnika z lupą w ręku. Przez lupę tę ogląda on każdą składaną obrączkę. Ciekawe, czego on tam szuka, co kontroluje? Nie sprawdza chyba na tych obrączkach dat zaślubin ofiarodawczyń!

Jeśli pragniemy wyjaśnić tę kwestję, przyjrzyjmy się bliżej posiadanym przez nas przedmiotom złotym lub srebrnym: pierścionkom, obrączkom, zegarkom lub częściom zastawy stołowej srebrnej. Na wewnętrznej stronie np. obrączki ślubnej widzimy wybite jakieś znaki, trudne jednak do rozpoznania gołem okiem. Przyjrzawszy się im bliżej przez szkło powiększające, zobaczymy teraz wyraźnie, co one wyobrażają. Otworzy się przed nami nieznany dotąd świat „bogów, ludzi i zwierząt". Tajemniczy znaczek na obrączce ślubnej okaże się głową rycerza, po prawej jej stronie zauważymy wyraźną cyfrę „3", po lewej zaś literę „K", „W", „L" lub „V". Jeśli los szczęśliwy pozwolił komuś zakupić w Paryżu piękne srebrne nakrycie stołowe, ujrzy na niem posiadacz wybitą głowę bogini Minerwy. Na medalikach złotych, zakupionych w Rzymie, można ujrzeć również na jednym głowę bogini Minerwy, lecz o innych konturach i mniej ozdobnym hełmie, na innym zaś głowę pięknego konia. Jeśli posiada ktoś drobiazgi złote i srebrne, zakupione w Wiedniu, niechaj się im przyjrzy dokładnie przez szkło powiększające, a ze zdumieniem stwierdzi, że niewyraźne napozór znaczki na tych przedmiotach przedstawiają wizerunki różnych zwierząt, jako to: niedźwiedzia, morsa, konia, lub głowy egzotycznych ptaków, a nawet obrazy owadów i ryb. Na kopercie srebrnego zegarka szwajcarskiego dostrzegamy wytłoczonego pięknie tańczącego niedźwiedzia, złoty zegarek tej samej marki szwajcarskiej, posiada malutki wizerunek naszej ulubienicy z plant krakowskich — wiewiórki.

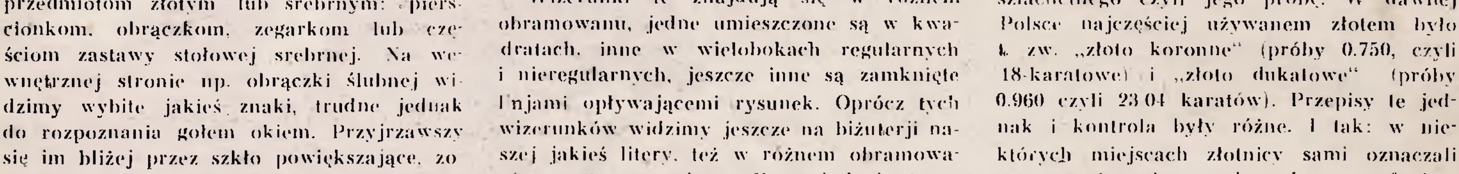
Wizerunki te znajdują się w różnem obramowaniu, jedne umieszczone są w kwadratach, inne w wielobokach regularnych i nieregularnych, jeszcze inne są zamknięte linjami opływającemi rysunek. Oprócz tych wizerunków widzimy jeszcze na biżuterji naszej jakieś litery, też w różnem obramowaniu: są to początkowe litery imienia i nazwiska złotników, którzy te przedmioty wykonali. Podobnie bowiem jak artyści, zaopatrują i złotnicy od czasów średniowiecza dzieła swej sztuki w swe inicjały, które mają świadczyć o autentyczności i oryginalności tych dzieł kunsztu złotniczego.

W złotnictwie jednak inicjały te czyli t. zw. „znaki imienne", wybite na przedmiotach złotych lub srebrnych były z początku nietylko moralną, ale i materjalną rękojmią, gwarantowały bowiem pełną wartość wewnętrzną użytego kruszcu szlachetnego. Zarówno bowiem złoto jak i srebro w swej zupełnie czystej postaci nie nadają się do użytku technicznego z powodu swej zbytniej miękkości, a temsamem małej odporności na uszkodzenia. Celem więc zwiększenia twardości, a i uzyskania pewnej żądanej barwy metalu, co zwłaszcza przy złocie ma znaczenie, dodać trzeba innych metali, z których najczęściej używa się miedzi. W przedmiotach srebrnych jest ona jedynym dodatkiem, w złotych zaś występuje łącznie ze srebrem.

Niesumienni złotnicy już w najdawniejszych czasach używali tego dodatku (miedzi) ponad konieczną techniczną potrzebę, obniżając w ten sposób materjalną wartość złota czy srebra, a dla siebie zyskując nieuczciwe korzyści. Oszustwa te w pracach złotniczych doprowadziły wreszcie do ścisłego nadzoru i kontroli nad temi pracami niemal we wszystkich krajach już w XIII wieku i spowodowały wydanie szeregu przepisów cechowych, praw i przywilejów odnośnie tych spraw. Przepisy te określały dokładnie zawartość przerabianego metalu szlachetnego czyli jego próbę. W dawnej Polsce najczęściej używanem złotem było t. zw. „złoto koronne" (próby 0.750, czyli 18-karatowe) i „złoto dukatowe" (próby 0.960 czyli 23.04 karatów). Przepisy te jednak i kontrola były różne. I tak: w niektórych miejscach złotnicy sami oznaczali swe wyroby, ciesząc się pełnem zaufaniem swych nabywców co do przepisanej zawartości złota lub srebra w wyrobach. Gdzieindziej zaś wyroby złotnicze bywały badane i oznaczane, czyli „cechowane" przez władze cechu złotniczego lub władze miejskie w obecności przedstawiciela cechu złotniczego. Wreszcie niektóre państwa wzięły dozór ten w swe ręce, tworząc z kontroli i cechowania gałąź pracy menniczej, a wreszcie wydzieliły te czynności, tworząc oddzielne urzędy probiercze (cechownicze). Obecnie we wszystkich niemal krajach europejskich wprowadzona jest państwowa kontrola i cechowanie wyrobów z metali szlachetnych. Z większych krajów jedynie w Anglji cechowaniem zajmują się związki złotnicze, które zachowały ten przywilej z czasów średniowiecza

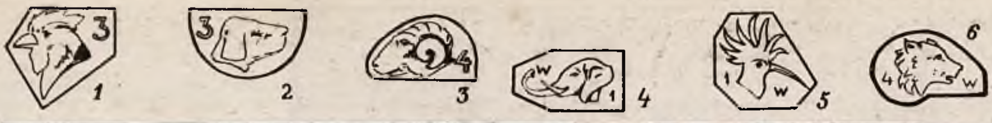


Od lewej: Polskie cechy probiercze. 1. Na złoto 0,583. 2. Godło na złoto. 3. Na przedmioty złote zagraniczne. 4. Cecha krajowa na srebro 0,800. 5. Godło na srebro. 6. Na zagraniczne przedmioty srebrne.



1. i 2. Angielskie cechy na złoto i srebro (Londyn, Glasgow). 3 Jugosłowiańska cecha na złoto 0,583. 4. Holenderska cecha złota 0,833. 5 Cecha na srebro b. Austro-Węgier, próba 0,750.

Szwajcarskie cechy na srebro 0,875 (6) i złoto 0,583 (7). Cecha francuska na srebro (8) oraz (9) włoska na złoto 0,660.



Od lewej: Czechosłowackie cechy: na złoto 0,750 (1), na srebro 0,800 (2), na srebro 0,751 (3). Austrjackie cechy probiercze: na złoto 0,750 (4), na srebro 0,935 (5), na złoto 0,585 (6).



Praca złotników odnacza się niebywałą precyzją i misternością, a potrzeba do niej dobrych oczu i zgrabnej ręki



Włosi składają złote przedmioty na ołtarzu ojczyzny zgodnie z hasłem „date oro alla Patria".

w Niemczech cechują wyrabiane przez siebie przedmioty sami złotnicy. Poza temi krajami wszędzie niemal każdy przedmiot złoty, srebrny, a nawet i platynowy w niektórych krajach, zanim zacznie nęcić oczy za witryną sklepową, musi być przedłożony w urzędzie probierczym, gdzie po zbadaniu, czy odpowiada jednej z przepisanych prób, zostaje zaopatrzony w specjalny znak t. zw. cechę probierczą, która wskazuje jaką próbę przedmiot posiada. Cecha probiercza stanowi zatem gwarancję państwa że przedmiot w nią zaopatrzony jest wykonany z określonego metalu szlachetnego i określonej próby.

Tych właśnie cech probierczych szukał przy pomocy lupy młody faszysta na obrączkach, ofiarowanych państwu przez patrjotki włoskie. W różnych państwach wprowadzone są rozmaite próby, przyczem najczęściej dla przedmiotów złotych przyjęto próbę 0.583 (czyli złoto 14-karatowe) i próbę 0.750 (złoto 18-karatowe), t. zn., że na 1000 części stopu przypada 583 tysięczne części względnie 750 tysięcznych części czystego złota. Najrozmaitsze zaś są cechy, które określają daną próbę metalu szlachetnego w różnych krajach. W Anglji np. na oznaczenie jakiegoś przedmiotu złotego czy srebrnego wybija się 5—6 cech probierczych, z których każda oznacza dopełnienie jakiejś czynności urzędowej; niektóre zaś kraje zadawalają się jedną tylko lub dwoma cechami. We Francji na łańcuszkach i bransoletkach złotych wybite cechy i ich rozmieszczenie na przedmiocie wskazują nietylko próbę, ale i dokładną wagę tych przedmiotów. Podobnie w Polsce na tych samych przedmiotach ilość cech, t. zw. „godeł" wybitych na ich zameczkach również podaje przybliżoną wagę tych przedmiotów.

Cechy probiercze wyobrażają najczęściej wizerunek głowy lub całej postaci rozmaitych zwierząt. Ulubioną postacią, powtarzającą się na cechach całego szeregu państw jest postać lub tylko głowa króla zwierząt lwa i spotyka się ją na cechach dla przedmiotów złotych i srebrnych. Często powtarza się na cechach również głowa konia i psa. Spotykamy jednak i cechy z herbami miast, z wizerunkami bogów greckich i rzymskich postaci alegorycznych z obrazami ptaków, owadów, a nawet roślin. W znacznej ilości cech prócz wizerunku właściwego dla danej próby metalu szlachetnego znajduje się również cyfrowe oznaczenie tej próby, jak również litera, która oznacza urząd probierczy, wybijający cechę. Cechy probiercze niektórych państw dla wszystkich prób metalu szlachetnego są jednakowe (ten sam obraz), a różnią się tylko między sobą cyfrą próby lub obramowaniem.

W Polsce obowiązuje dotychczas częściowo zmienione ustawodawstwo probiercze byłych państw zaborczych. Stąd też w byłym zaborze rosyjskim i austrjackim przedmioty złote i srebrne są badane i cechowane w urzędach probierczych w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Wilnie. Na terenie natomiast byłego zaboru pruskiego złotnicy sami oznaczają wykonane przez siebie przedmioty złote i srebrne.

Wyjętemi z pod obowiązku próbowania i cechowania są tylko narzędzia chirurgiczne i fizyczne, przedmioty pokryte całkowicie emalją, oprawy drogich kamieni, w których wartość metalu szlachetnego ma tylko podrzędne znaczenie, wreszcie przedmioty masy poniżej 1 grama; te ostatnie jednak muszą mieć przepisaną najniższą próbę.

Istnieją 3 próby dla wyrobów złotych, a mianowicie próba 1-sza: 0.960, 2-ga: 0.750 i 3-cia: 0.583 i 3 próby dla wyrobów srebrnych: próba 1-sza: 0.940, 2-ga: 0.875 i 3-cia: 0.800. Najczęściej jednak używanemi są próby najniższe, tj. próba 3-cia dla złota i srebra.

Każdy przedmiot złoty i srebrny zaopatrywany jest w cechę główną, na której umieszczona jest cyfra próby; na przedmiotach złożonych z kilku części prócz cechy głównej wybija się również t. zw. godło na częściach składowych tego przedmiotu, względnie obok cechy głównej. Ilość tych godeł na łańcuszkach i bransoletach wskazuje, jak już wyżej wspomniano, również przybliżoną wagę tych przedmiotów, przyczem 1 godło oznacza 10 gramów.

Teraz w okresie karnawału, w tym okresie zaręczyn, zaślubin, prezentów przedbalowych, każdy kupujący wyroby złote i srebrne, winien zwrócić uwagę na cechy probiercze na tych przedmiotach, a celem zorjentowania się łatwiejszego w tej różnorodności znaków probierczych niechaj szuka w każdym sklepie jubilerskim, pracowni złotniczej, a także w sklepie zegarmistrzowskim wywieszonej tabeli wzorów rysunkowych państwowych cech probierczych. Niechaj porówna je z cechami wybitemi na kupowanych przez siebie przedmiotach, a uwaga i staranność ta uchroni niejednego od przykrej czasem niespodzianki.

Dr Franciszek Zastawniak.



Austrjackie cechy probiercze: 1. mieszane złoto srebrne, 2. stara cecha na srebro zagraniczne próby 0, 535, 3. na srebro próby 0,800. 4. Francuska cecha na złoto. 5. Włoska cecha na złoto próby 0,500. 6. Cechy austrjackie na złoto próby 0,585. 7. Na złoto zagraniczne próby 0,585.

Jak dwie krople wody...



Olbrzymie drapacze chmur Nowego Jorku przypominające jakieś duże zabawki ułożone z klocków, nasuwają na pamięć sto osiemdziesiąt wieżyc, które posiadała Bologna. Jak widać nawet drapacze chmur znajdują analogję optyczną w przeszłości.





Egzotyczne węże wiernie „imitują" mięsiste liście rośliny rosnącej w Japonji (na prawo).





Jak łatwo pomylić się rzuciwszy okiem na te dwa zdjęcia! Tu (w kole), tysiączne głowy ludzkie, tam zaś niezliczone jabłka kalifornijskie czekające na wysłanie do Europy.



Na lewo: Iskra elektryczna wydobywająca się z ostrego końca jednego bieguna przedstawia nadwyraz piękną gwiazdę...

Na prawo: ...która przypomina piękny kwiat również z gwiaździsto rozłożonymi listkami, rosnący w egzotycznych krajach.









Oto podobne do ptaków w przestworzach współczesnego świata mkną liczne samoloty, wzorujące się na locie skrzydlatych istot Ale i człowiek, skacząc z trampoliny w wodę, konkuruje z tamtymi w śmiałym, powietrznym pędzie.

Ileż satysfakcji i przyjemności można mieć, dobrze obserwując to co nas otacza, umiejąc patrzeć i uchwycić nietylko szczegóły, ale właśnie ogólne zarysy przedmiotów, ludzi, krajobrazów. Podobnie jak śledząc esy floresy znajdujące się na tapetach pokoju, po pewnym czasie zaczynamy „wypatrywać" w nich różne twarze i sceny, tak też przypatrzywszy się dobrze konturom i sylwetkom, otaczających nas przedmiotów, spostrzeżemy dziwne nieraz ich pokrewieństwa, asocjując je w pewnej dziedzinie optycznych odczuć.

Oto czyż nie jest niejako klasycznem podobieństwem ten sznur ptaków, ciągnących po błękicie nieba i ów rząd samolotów, lecących w wojskowym ordynku? Przypominają się szeregi bocianów, odlatujących z naszego kraju, gdyż i one znają się na wojskowej subordynacji. Czyż trzeba przypominać, jak wspaniale postacie przybierają kwiaty śnieżne, które nieraz możemy zobaczyć na naszych oknach, jak również gwiaździste, nieraz fantastyczne figury, jakie ujrzeć możemy na drutach tramwajowych, lub przy naprawianiu nocnem szyn tramwajowych zapomocą elektrycznego świdra? Iskra elektryczna sfotografowana w chwili, kiedy posiada najwięcej rozgałęzień, przypomina piękny kwiat egzotyczny z tą tylko różnicą, że to co u niego jest kolorowe, w iskrze czaruje błyskiem i światłem. A mrowie ludzkie? Czyż z góry widziany plac wyścigowy, czy też inne wielkie zbiorowisko ludzkie nie nasuwa na pamięć olbrzymiego kopca z kartoflami lub jabłkami?

Możnaby śmiało powiedzieć, że wszystkie istoty żyjące i martwe przedmioty posiadają, jeżeli chodzi o ich linję, pewne typy, pod które można również podciągnąć twarz ludzką. Istotnie typów takich istnieje może kilkaset, a może kilkanaście tysięcy, w każdym jednak razie człowiek umiejący obserwować sylwetkę danej rzeczy łatwo wychwytuje te optyczne pokrewieństwa, łączące pewne rzeczy we wspólne grupy „rodzinne". Studjum tego ciekawego przedmiotu znacznie jest ułatwione, jeżeli chodzi o twarz ludzką, którą można łatwo podzielić na określone kategorje.

Znanem jest w przyrodzie „prawo mimikry", które ma na celu uchronienie niektórych zwierząt przed pożarciem ich przez inne większe i groźniejsze. Podobne „prawo mimikry" panuje również w otaczającym nas świecie, przyczem oczywiście nie idzie o jakąś ochronę. Te podobieństwa mogą być poza optycznemi qui-pro-quo bardzo często źródłem natchnienia dla artysty. Tak jak w języku ludzkim zdarzają się słowa, na których można oprzeć świetny kalambur dzięki ich podobnemu brzmieniu, lub podwójnemu znaczeniu, tak też i te obrazy zbliżone do siebie wyglądem stanowią jego odpowiednik optyczny.

Tak więc przyjrzawszy się bacznie naszemu otoczeniu można zauważyć rzeczy, których nawet nie przeczuwaliśmy, odnajdując nowy niejako, chociaż równocześnie i znany nam świat.

G.

Jedna z najpopularniejszych dziś na świecie postaci jest bezsprzecznie pierwszy zdobywca stratosfery prof. August Piccard. W Brukseli, gdzie mieszka, zna go każde dziecko, na scenach kabaretów nie może być wystawiona rewja bez dowcipu na jego temat, tak samo też i na uniwersytecie brukselskim, na którym wykłada. Piccard jest ulubionym przedmiotem „kawałów".

Prof. Piccarda znamy z jego sławy naukowej. Posłuchajmy teraz o anegdotach, krążących dookoła jego osoby i które sam Piccard najchętniej dookoła siebie rozprzestrzenia.

Piccard, jak wiadomo, jest Szwajcarem i mimo licznych namów nie przyjął obywatelstwa belgijskiego. W czasie wojny odbywał służbę wojskową w jednym z pułków szwajcarskich, które przechodziły specjalne przeszkolenie, przygotowując się na wypa-

ZDOBYWCA STRATOSFERY „INTIME"



Prof. Piccard ze swemi dziećmi na spacerze w okolicach Brukseli.

dek pogwałcenia neutralności Szwajcarji przez strony walczące. Prof. August Piccard posiada brata tak łudząco do siebie podobnego, że nawet ci, którzy ich dobrze znają, bardzo często nie mogą ich rozpoznać. Pewnego dnia August Piccard odmaszerował, podczas gdy dowódca pułku udał się na pole, gdzie wylądował balon i tam zauważył leżącego w trawie Piccarda, przyglądającego się spokojnie zwijającym balon żołnierzom. Był to Jan Piccard. Pułkownik wpadł we wściekłość i powróciwszy do kancelarji kazał natychmiast aresztować za niesubordynację Augusta i osadzić go w areszcie. Żadne tłumaczenia nie pomogły i niefortunnego uczonego zamknięto w „pace". W dwa dni później pułkownik przechodząc przez koszary natknął się na Jana Piccarda i w przypuszczeniu, iż bez jego wiedzy zwolniono Augusta z aresztu, zawezwał oficera dyżurnego i kazał natychmiast aresztować Jana Piccarda. Dopiero wówczas wyjaśniły się wszystkie nieporozumienia i po dwudniowym areszcie prof. August Piccard został wypuszczony na wolność.

Od tego czasu minęło kilkanaście lat. Uczony szwajcarski stał się jednym z najgłośniejszych ludzi na świecie. Posiada on ogromne poczucie dowcipu i przepada za kpinkami z innych uczonych.

Przed niedawnym czasem odbyła się w Brukseli konferencja na temat wpływu atmosfery na promieniowanie kosmiczne. Konferencja ta wygłoszona tylko dla specjalistów zgromadziła w Brukseli najwybitniejszych uczonych nietylko belgijskich, lecz przedewszystkiem francuskich i niemieckich, którzy dla posłuchania Piccarda nie wahali się poświęcić na tę podróż kilku dni.

Piccard rozpoczął swą konferencję w następujący sposób: „Przed każdym odczytem — powiedział on — powinno się w kilku słowach go streścić i dać słuchaczom syntezę. Otóż jeśli chodzi o konferencję, którą mam wygłosić, to wpływ atmosfery na promieniowanie kosmiczne jest żaden! W ten sposób opowiedziałem właściwie panom już wszystko i powinienem wziąść kapelusz i pójść do domu. Ze względu jednak na to, iż panowie „deranżowali" się dla mnie, przyjeżdżając nawet z zagranicy, wejdziemy w szczegóły, które i tak nic ciekawego panom nie wyjaśnią".

Uczony szwajcarski posiada słabość do dziennikarzy. O ile jeszcze przed sześciu laty zbyt natrętnych reporterów nie przyjmował u siebie wogóle, teraz słowo dziennikarz otwiera w domu Piccarda wszystkie drzwi.

Prof. Piccard bardzo często dla wyjaśnienia nam tego mówił: „Jeśli go nie przyjmę to i tak napisze, tylko wówczas włoży mi w usta rzeczy, o których nigdy nawet nie słyszałem".

Prof. Piccard nie pali i jest śmiertelnym wrogiem wszystkich palaczy. Na uniwersytecie nawet profesorowie uważają na to, ażeby nie palić papierosów w pobliżu laboratorjów Piccarda. Tak samo słynie on ze swej przesadnej punktualności. Studenta, który się spóźni pięć minut, nie przyjmie wogóle.

Prof. Piccard jest w chwili obecnej szczęśliwym ojcem pięciorga drobnych dzieci. Codziennie o godzinie siódmej rano możemy go spotkać na przechadzce w parku „de la Cambre", prowadzącego swe pociechy za rękę. Na uniwersytecie w Brukseli dwoje ostatnich dzieci nazywa się żartobliwie „Stratosfera 31" i „Stratosfera 33". Urodziły się one bowiem w czasie lotów Piccarda do stratosfery.

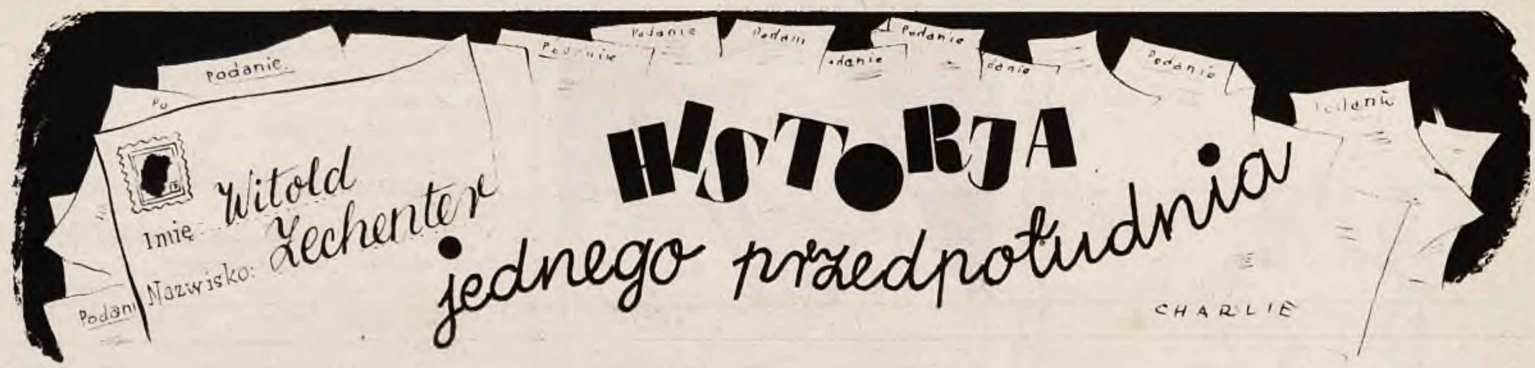
Przed dwoma laty prof. Piccard udał się do Ameryki, gdzie wygłosił szereg konferencyj o stratosferze. Sąsiad uczonego szwajcarskiego posiadał psa, który już kilkakrotnie pogryzł jego dzieci. Chcąc się przed swą podróżą do Ameryki upewnić, iż dzieci jego będą się mogły spokojnie bawić, zaprowadził psa sąsiada do weterynarza, który mu wyrwał z przodu wszystkie zęby. Sąsiad zobaczywszy w podobny sposób zeszpeconego psa zrobił Piccardowi piekielną awanturę. Cała ta sprawa dostała się do wiadomości prasy, a Piccarda w porcie nowojorskim przyjęto zgniłemi jajami, tak że w obronie jego musiała interwenjować policja. Sukces odczytów o stratosferze został z powodu wrogiej Piccardowi propagandy, prowadzonej przez towarzystwa przyjaciół zwierząt, znacznie podkopany.

Piccard przywiązuje bardzo mało uwagi do rozmaitego rodzaju hołdów, jakich jest przedmiotem. W auli uniwersytetu w Brukseli znajdują się dwa postumenty, na których stoją biusty pierwszych zwycięzców stratosfery prof. Piccarda i inż. Kipfera. Pewnego dnia jeden z profesorów stał się świadkiem profanacji biustu Piccarda, który znajduje się na bardziej honorowem miejscu. Mianowicie na gipsowej głowie prof. Piccarda znajdował się zwykły, miękki i to dobrze zniszczony kapelusz, podczas gdy na szyi wisiała stara parasolka. Zawezwano natychmiast woźnych i usunięto przedmioty profanujące pomnik Piccarda. Gdy jednak przystąpiono do śledztwa, zjawił się Piccard, pytając, czy nie znaleziono jego kapelusza i parasola? „Profanacja" pomnika Piccarda się wyjaśniła. Oto uczony znajdując się w auli szukał bezskutecznie wieszaka, na którym mógłby kapelusz i parasol powiesić, nie mogąc go znaleźć, oddał on je na „przechowanie" swemu pomnikowi, nie przypuszczając jakie to przyniesie konsekwencje.

(hajot).



Zdobywca stratosfery w rozmowie z Panem Prezydentem Rzplitej I. Mościckim, podczas swego pobytu w Warszawie.



To, co poniżej napiszę, piszę bez żadnej goryczy ni żalu. Nie mam żalu do nikogo. Ponadto oświadczam, że wszystko, co tu piszę, jest autentyczne. Jest faktem.

Rzecz dzieje się przed kilku dniami w mieście, w którem mieszkam. Spowodu pewnych krętactw jestem zmuszony oddać pewną sumę na depozyt sądowy.

O 9 rano telefonuję do Sądu Grodzkiego.

— Chciałbym złożyć 140 zł. na depozyt sądowy. Jak się to robi?

Głos w telefonie (ziewając):

— Składa się.

— Bez podania?

— Z podaniem.

— A czy trzeba opłacić podanie?

— Trzeba.

— Za ile stempel?

— Za 50 groszy.

— Serdecznie dziękuję...

Pomruk w słuchawce. Koniec rozmowy.

Idę na pocztę, kupuję papier kancelaryjny i stempel za 50 gr. Wracam, piszę podanie na maszynie i idę do Sądu Grodzkiego

Na tablicy orjentacyjnej wyszukuję ulokowanie biura depozytów. I. piętro. Wchodzę. Czekam na swoją kolejkę.

— Chciałem złożyć na depozyt 140 zł. Oto podanie...

Urzędnik rzuca okiem i słowem:

— Do dziennika podawczego.

Schodzę na parter. Dziennik podawczy. Pukam. Wchodzę. Czekam na swoją kolejkę.

— Chciałbym złożyć podanie...

Urzędnik nieufnie patrzy na mnie, potem na podanie. Podaję mu stempel

— Stempel? Może pan sobie go schować.

— Chętnie — ale poinformowano mnie, że podanie trzeba opłacić...

— Tak, ale nie stemplem. Tu nie Izba skarbowa.

— Wiem o tem, że nie Izba — ale nie wiem, jak opłacić...

— Podania do sądu opłaca się opłatą sądową.

— Czy to są też znaczki?

— Oczywiście. O tem pan nie wie?

— Nie wiem. Nigdy nie miałem z temi sprawami do czynienia

— Szkoda.

— Istotnie. A gdzie można dostać takie znaczki?

— Tam, gdzie pan kupił stempel.

— Dziękuję.

Wracam na pocztę, ale w księgarni pocztowej zabrakło znaczków opłat sądowych. Informują mnie, że dostanę je w jednym ze sklepików naprzeciw sądu W jednym sklepiku też niema, w drugim są. Kupuję opłatę sądową za 50 gr. i wracam do dziennika podawczego.

Urzędnik patrzy nieufnie naprzód na mnie, potem na podanie. Bierze odemnie znaczki opłaty, nakleja, kasuje olbrzymiemi pieczęciami, przybija kilkanaście innych i oddaje mi podanie.

— Gdzie mam z tem iść?

— Do depozytu — oczywiście

— Dziękuję.

Idę na I. piętro do depozytu. Czekam na swoją kolejkę. Podaję podanie.

— No dobrze — ale czy ma pan polecenie przyjęcia do depozytu?

—Nie mam. Nikt mi nic nie mówił, że takie polecenie mam mieć

— Musi być takie polecenie.

— Gdzie możnaby je dostać?

— Pokój następny.

— Dziękuję.

Idę do pokoju następnego. Pukam. Wchodzę Czekam na swoją kolejkę.

— Proszę o wydanie polecenia przyjęcia w depozyt.

— Poco?

— Jakto poco? Tak mnie poinformowali, że musi być, inaczej nie przyjmą depozytu.

— A pan chce złożyć pieniądze w depozyt?

— No tak.

— To przecież i tak nie przyjmiemy pieniędzy.

— Jakto?

— Bo nie przyjmujemy pieniędzy.

— Dlaczego?

— Bo nam nie wolno

— Ależ ja muszę złożyć na depozyt tę sumę.

— To pan może, ale nie wprost.

— Tylko jak?

— Niech pan złoży na książeczkę oszczędności i przyniesie ją nam.

— Acha.. Nikt mi nic o tem nie mówił przedtem, a informowałem się... Na książeczkę oszczędności PKO?

— Ale skądże? Miejskiej Kasy.

— Miejskiej Kasy Oszczędności?

— No, tak.

— Dziękuję.

Przy drzwiach coś mnie tknęło. Widzę, że nie uzyskam wprost żadnej informacji, jeżeli jej przemocą mem pytanie nie wyciągnę.

— Na zwykłą książeczkę?

— Zwykłą.

— Na moje nazwisko?

— No a na czyje?

— Na tego, dla kogo są te pieniądze

— Nie.

— Dziękuję.

Ale znów mnie przy drzwiach tknęło.

— Przepraszam... I bez żadnych zastrzeżeń?

— Ależ oczywiście, że z zastrzeżeniem!

— Tak? A jakiem?

— Sądowem.

— To znaczy?

— Oni już tam będą wiedzieć.

— Dziękuję.

Nic nie już nie tknęło, więc wychodzę Idę do Miejskiej Kasy Oszczędności. Stoję w ogonku. Składam na książeczkę. Idę do drugiego okienka. Robię zastrzeżenie sądowe. Wracam do sądu. Do pokoju, z którego wyszedłem.

— Proszę — oto podanie i książeczka..

Urzędnik patrzy na podanie.

— Zamało opłacone.

— Powiedzieli, że za 50 groszy.

— Nie Trzeba opłat sądowych za 1 złotego. To znaczy jeszcze 50 groszy. A ponadto znaczków doręczeniowych.

— Jakich przepraszam? Udręczeniowych?

— Doręczeniowych za 1 złoty 50.



Czekam na swoją kolejkę...

Urzędnik nieufnie patrzy na mnie...



— Czy pan nie ma przypadkiem takich znaczków — nie bardzo mi się chce znowu wychodzić z tego miłego budynku...

— A poco ma pan wychodzić? Na dole koło dziennika podawczego jest kasa, która sprzedaje wszystkie znaczki.

— Ach tak? Dziękuję.

Schodzę na parter. Istotnie — vis-à-vis dziennika podawczego jest kasa, która sprzedaje wszystkie znaczki. Kupuję jedne i drugie i dziwię się, czemu urzędnik w dzienniku podawczym wysłał mnie po te znaczki na pocztę, zamiast powiedzieć mi, że dostanę je w kasie vis-à-vis...

Wracam ze znaczkami. Czekam znów na kolejkę. Urzędnik bierze odemnie podanie, kasuje olbrzymiemi pieczęciami nowe znaczki i przybija pewną ilość innych pieczęci. Właściwie już nie widać, co jest napisane na podaniu — widać tylko pieczęcie i znaczki. Ale to nic nie szkodzi zapewne.

— To już — mówi urzędnik.

— Już?

— Już.

— Nie trzeba jeszcze iść do depozytu?

— A poco?

— No nie... tak tylko myślałem. Dziękuję bardzo...

Jestem w drodze do drzwi, gdy nagle słyszę głos inny, dochodzący do mnie:

— Jeszcze koperta...

— Ach tak, jeszcze koperta — powtarza urzędnik, obracając w ręku moje podanie i książeczkę oszczędności.

Wracam.

— Koperta?

— Tak. Musi być koperta, by razem złożyć podanie i książeczkę.

Coś się we mnie zbuntowało. Byłem tak długo cierpliwy.

— Nie pójdę po kopertę.

Urzędnik spojrzał na mnie. Z za olbrzymich stosów papieru wyjrzała czyjaś głowa, dotychczas niewidoczna.

— Nie pójdę po kopertę — powtórzyłem — niech pan to zepnie jakimś spinaczem.

Urzędnik pogrzebał w szufladzie biurka o przedpotopowych kształtach. Znalazł jakąś kopertę.

— To już — rzekł.

— Dziękuję.

Wyszedłem. Ale coś mnie tknęło, więc wróciłem.

— Czy ten, któremu te pieniądze się należą, dostanie zawiadomienie?

— Oczywiście. I pan i kasa oszczędności

— Ja także dostanę zawiadomienie — o czem? O tem, że tu byłem?

— O przyjęciu depozytu.

— Acha. Dziękuję.

Wyszedłem. Przechodząc koło tamtych drzwi, gdzie przedtem byłem, pomyślałem sobie, że obeszło się bez wyrobienia owego polecenia przyjęcia w depozyt.

Dziwne. Całe przedpołudnie zeszło na tem. Trzy godziny. A mógł zejść kwadrans. Zasadniczo — gdyby odrazu mnie odpowiednio poinformowano, co potrzeba, gdybym nie musiał wciąż się wypytywać, gdyby...

Gdyby...

Ale to piszę bez goryczy ni żalu. Teraz już na całe życie wiem, jak się składa do depozytu. Nie składa się wogóle. Składa się w innym pokoju, nie tam, gdzie napisana tabliczka „Depozyt". I wogóle składa się w kasie oszczędności. Ciekawe, że sam z siebie nie mogłem się domyśleć tego wszystkiego! I jeśli stempel, to znaczy opłata sądowa i znaczki doręczeniowe — a jeśli 50 groszy, to znaczy razem 2 zł. 50. To takie proste! I tak uprzyjemniające życie „szarego człowieka"...



Ale to piszę bez goryczy i żalu...



KAPIEL KOLOSA

Z ludzką nieomal pieczołowitością „pani słoniowa" wprowadza swego pierworod-

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY.

Przyjdź kochanie...

Boston.
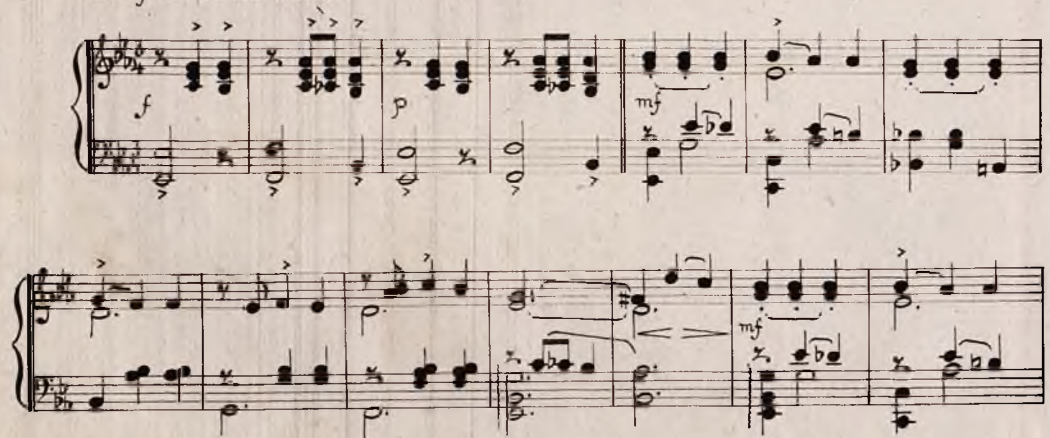
W niedługim już czasie przystąpimy do zorganizowania zapowiedzianego w pierwszym numerze „Asa" — Konkursu na najlepszy przebój muzyczny sezonu. Będzie on równocześnie turniejem orkiestr jazzowych, które wykonają premjowane przez jury utwory, drukowane poprzednio w rubryce muzycznej „Asa". Wśród nich pojawiła się prawdziwa perełka w postaci pięknego bostonu, kompozycji p. Feliksa Głowackiego, ociemniałego artysty, który mimo swego kalectwa niezatracił pogody ducha i w ramach niezwykle zwartej faktury pomieścił bogactwo inwencji muzycznej, przejawiającej się prostą, a jednak piękną i co ważniejsze, oryginalną melodją i harmonizacją.

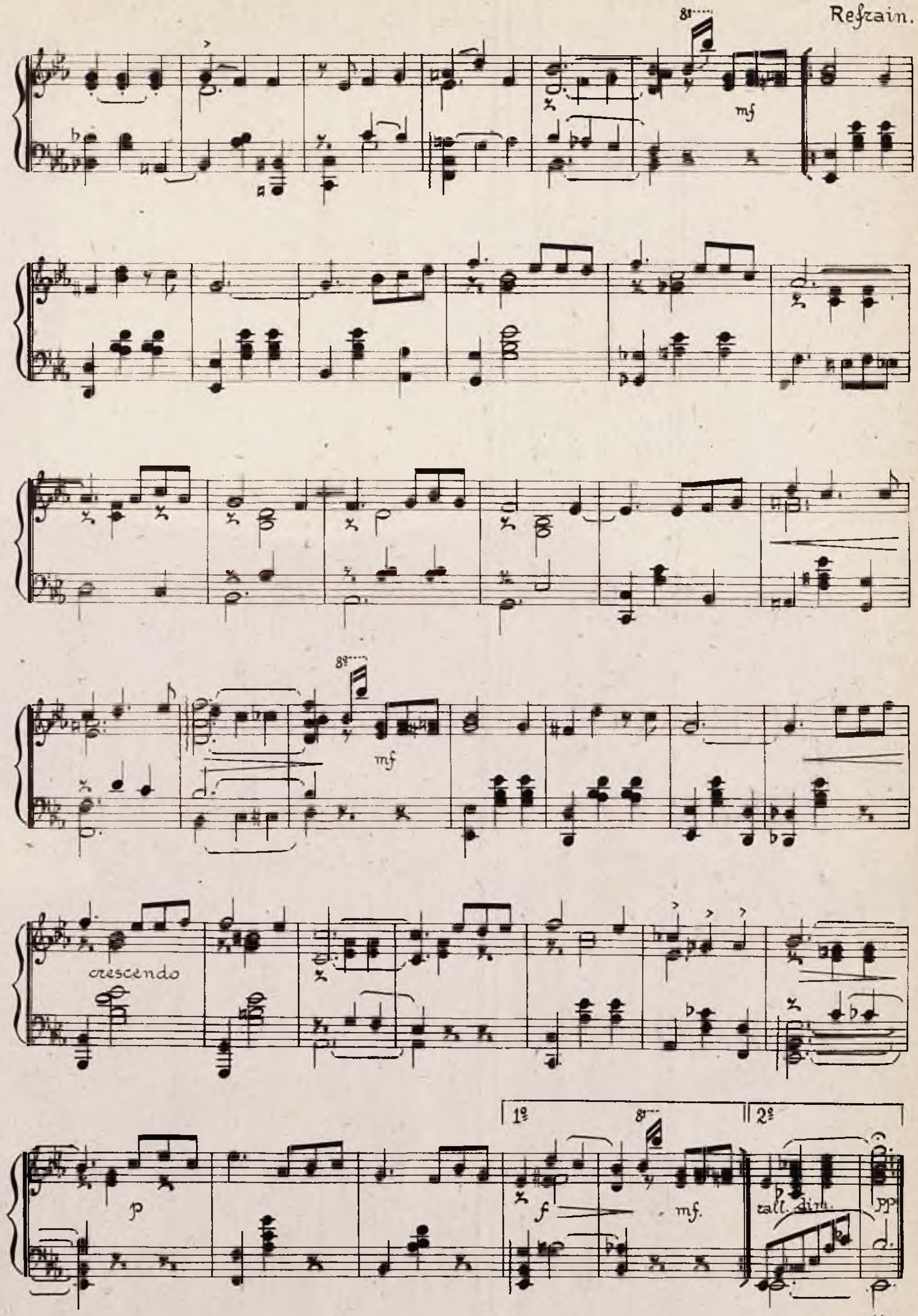
Nie ulega więc wątpliwości, że boston „Przyjdź do mnie kochanie", którego układ fortepianowy jest dziełem p. F. Pasikowskiego, stanie się wkrótce prawdziwym przebojem i ulubionym utworem naszych muzykalnych Czytelniczek i Czytelników.

el.

Muzyka:
Feliksa Głowackiego.

Układ fortepjanowy:
F. Pasikowskiego.





Dzieci Szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

22-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

— Czekaj... czekaj... — począł szeptać Le Droz, któremu nagle zabrakło oddechu. — Nie sprzedałem przecież tej książeczki... zapomniałem nawet o niej zupełnie... Wierzysz mi chyba? — Jeżeli ją przyjąłem wtedy, to tylko, żeby cię nie drażnić... żeby gorączka się nie wzmogła... Czekaj... czekaj.

I nagle wydał dziki, przeraźliwy okrzyk.

— Ależ to Roberta ją ma! Oddałem jej, żeby ci ją odesłała. — Zapomniała widocznie... Ramon, Ramon — czy to możliwe!!

A Vivant już wołał na nich z taksówki, którą chwycił w biegu.

— Ruszaj piorunem — rzucił szoferowi. — Albo koniec świata dla ciebie!

* * *

Kiedy stanęli u Roberty, byli na wpół nieprzytomni, miotani niecierpliwością, nadzieją, obawą.

— No i co? — Czy warto było? — zapytała Le Droza młoda kobieta.

— Co, czy warto było? — powtórzył, nie rozumiejąc o czem mówi.

— No, iść do Plessoye...

— Akurat Plessoye mam w głowie! — zawołał Vivant.

— Ale co wam się wszystkim stało? — Ramon, wytłumacz mi!

— Nie, nie — niech mówi Le Droz.

Le Droz zaciął szczęki aż trzasnęły w zawiasach, chcąc, by powróciła mu choć odrobina niezbędnej jasności myśli; poczem bardzo łagodnie, tak, jakby się bał spłoszyć jakąś niewidzialną potęgę, zaczął mówić:

— Słuchaj, Roberto — weźmy wszystko po kolei, od początku... Jesteśmy w Casa, w restauracji... W powietrzu czuć awanurę... Zjawia się Ramon... Chwytam go i podnoszę... Mdleje mi w rękach... Odwozimy go do szpitala —

— W mojem aucie — tak...

— Dobrze. W chwili, kiedy rozstajemy się z nim, co Ramon robi?

— Zaraz... Już wiem! Zaczyna się niepokoić, rzucać, jak szalony... Chodzi mu o rachunek... Daje ci książeczkę loteryjną...

— Dobrze, dobrze — potakuje, dysząc z niecierpliwości Le Droz. — A potem?

— Dajesz mi ją... Mam ją odesłać z Paryża Ramonowi. To sobie doskonale przypominam, bo w ten sposób dowiedziałam się, że jedziemy razem...

— Czyś ją odesłała?

— Nie — zaśmiała się Roberta. — Umyślnie nie odesłałam. Rozumiesz... to był fetysz!

— I jaki fetysz! — zawołał Vivant, niezdolny powściągnąć się dłużej. Fetysz, przedstawiający 300 tysięcy pesetów — 700 tysięcy franków! Pokaż-że go! Niech się go człowiek dotknie — niech go popieści — żeby weń uwierzył!

Młoda kobieta utkwiła w Le Droza i Ramona niedowierzające, nieprzytomne spojrzenie rozszerzonych źrenic.

— Tak, to prawda — wyrzekli obaj drżącym głosem.

Roberta zbladła. Obraz... Plessoye... wybawienie... Plessoye!... I zbladła jeszcze silniej — dosłownie śmiertelnie.

— Nie mam już tej książeczki — wyszeptała. — Jestem pewna tego. Kiedy przeprowadzałam się tutaj, nie miałam znów tyle rzeczy, żeby jej nie zauważyć...

Vivant jęknął. Le Droz zacisnął zęby tak, że oderwał nimi kawałek dolnej wargi. A Ramon, spuściwszy głowę, wyrzekł:

— Czarna serja...

— Nie, to nieprawda! — zakrzyknął Le Droz.

Cała natura jego podniosła bunt — stał się napowrót sobą.

— Niema czarnej serji! Jest tylko to, co się samemu zdziała — albo zniszczy. To, co w krwi żyje — albo we krwi gnije! — Nic innego! — A teraz trzeba dowiedzieć się, gdzie jest nasz majątek — gdzie jest to, co nam się należy. Gdzie jest nasze szczęście! — Dalej, Roberto, idzie o twoje życie — o życie nas wszystkich. Zastanów się — przypomnij sobie. Natęż pamięć, ile możesz.

I nachylił ku niej twarz, na której w tej chwili namiętna wola, dzika odwaga — przywiązanie do światła, do słońca, do piękna nocy — cała jego wiara w cud, wyrzeźbiły swe piętno.

— Fetysz — szeptał dalej rozkazująco, jak hypnotyzer — słuchaj, fetysz! Przecież dba się o fetysz — chowa się go — zabezpiecza, kiedy komuś grozi komornik... Jesteś na quai de Passy, Roberto — ludzie przychodzą, żeby wynieść rzeczy... Gdzie wtedy schowałaś książeczkę...?

— Do starej torebki podróżnej... z listami Pawła... Wynoszą meble... Mam jechać w Vogezy... Zabieram ze sobą kuferki... starą torbę podróżną także... Jadę do hotelu, gdzie mieszkają znajomi, ci z Vogezów... Potem Ivan... i... i —

Załamała bezsilnie ręce.

— ...i już nic nie wiem, co dalej...

— Bigofonja... — przybity, wyrzekł głucho Vivant.

— Nie, nie wymigasz mi się tak — warknął Le Droz. — To było więc w wilję naszego spotkania... Gdzie chodziliście tego wieczora? Będziemy szli za waszym tropem...

— Halt! — wykrzyknął nagle Vivant. — Zdaje mi się... zdaje mi się... Roberto! Kiedy nazajutrz rozmawialiśmy o twoim mężu — chciałaś mi jego listy przeczytać... i nie znalazłaś ich już... Torba została tam, gdzie jedliśmy obiad... Ale gdzie to było?...

A Roberta bliska omdlenia już, wyjąkała:

— U tej grubej... z Marsylji... Courdoneau... pamiętasz...

Vivant znikł tak prędko, że nikt nie zdołał rzucić się za nim.

* * *

Skacząc przez krzesła, stoły i ludzi, przeleciał jak wicher przez salkę i stanął w kuchni, gdzie gorzał, na czerwono rozpalony piec-olbrzym.

— Lili — moja Lili! — Czy masz torbę ręczną, zostawioną tutaj, kiedy byłem u ciebie po raz ostatni!

— He, he, fada: Myślisz ustatkować się, jak widzę — odrzekła Lili. — Ktoby się spodziewał, że będziesz się troszczył o takie byle co!

— Wyrzuciliście ją?!

— A niech Bóg uchowa! — Miłosne listy — i takie smutne — biedny on! Toby mi pecha przyniosło! — Torba jest po dziś dzień pod komptuarem. — Co robisz! — Puść — ty zatracony fada! — Udusisz...

* * *

Pierwsza z pięknych zabaw, otwierających sezon jesienny, odbyła się w Hotelu Królewskim, w początkach drugiej połowy października. Wszyscy, którym udało się dostać na nią, zachowali w pamięci ową zabawę.

Tłok był, nie do opisania — duszono się wprost. Kobiety przyszły poubierane w suknie nowe i bardzo śmiałe — atrakcje, które następowały jedna po drugiej — były wszystkie wyjątkowo udane. Szczególnemi oklaskami nagrodzono wielkiego murzyńskiego tancerza, Roya Robinsona — a najgłośniej, najgoręcej zagrzewał do nich radosnemi okrzykami pewien młody człowiek, o oczach ściągniętych ku skroniom, jak u Chińczyka, którego śmiech brzmiał jak żywy czar.

Przy jego stoliku, ustawionym w najlepszem miejscu i najwspanialej ubranym kwiatami, zwracała uwagę pełna życia i uroku twarzyczka młodej kobiety; nie obcięte włosy jej, spięte by-

ły w fryzurę, odsłaniającą śliczne uszka. Siedziało przy tym stole jeszcze dwóch młodych ludzi; ci znów przykuwali uwagę. jeden płomienną siłą, bijącą z całej postaci, drugi idealną wprost urodą.

Po skończonym obiedzie i wyczerpaniu programu atrakcyj tanecznych, przystąpiono do ciągnienia losów — w programie zabawy była bowiem również tombola. Fantów nie było wiele — ale jakie fanty! Piękny samochód odkryty, gotowy do drogi. Kolczyki z chińskiego żadu, nieskazitelnej piękności. Kompletny bar przenośny, mieszczący się w kuferku. Posążek murzyński, dziwaczny a tajemniczy...

I oto zdarzyła się rzecz dziwna: wśród obecnych nie było jakoś nikogo, ktoby posiadał los na tę tombolę. Lecz ponieważ nikt z gości nie wiedział, że jego sąsiad odszedł również od kasy z pustemi rękoma — powiedziano mu bowiem, że bilety były już wszystkie wykupione — fakt ten przeszedł jakoś niepostrzeżenie, nie budząc komentarzy. Zdumienie wśród obecnych zaczęło się dopiero, kiedy ogłoszono numer pierwszej wygranej i ów, niezwykłej urody, młody człowiek, o gorącem, harmonijnem obliczu, podniósł rękę, nie spojrzawszy nawet na numer swego losu. To samo stało się przy następnej — potem przy trzeciej — aż do ostatniej wygranej.

Powstał początkowo śmiech. Potem zaczęto protestować. Lecz, by wytłumaczyć to nieprawdopodobne szczęście, młody człowiek wyciągnął z kieszeni cały plik losów. Wtedy zrozumiano powód tych kolejnych zwycięstw: młody człowiek zakupił wszystkie losy na tombolę.

Nikt z obecnych na sali nie znał go, prócz towarzyszy, z którymi przyszedł. Ci zaś zdawali się tak samo zdumieni, jak reszta gości. Młody człowiek uśmiechnął się do nich promiennie — założył kolce z zielonemi kamieniami młodej kobiecie na uszy — podprowadził do kuferkowego baru atletę, który bez wysiłku uniósł go — a bóstwo afrykańskie włożył w ręce chłopaka o skośnych oczach. Poczem zaprosił przyjaciół do wygranego auta i ruszył z miejsca.

Przypuszczano, że chce okrążyć autem obszerny hall — i stan umysłu młodego człowieka, o twarzy antycznego kierowcy kwadrygi, zaczął już budzić niepokój między publicznością. On jednak ruszył prosto ku olbrzymiej ścianie oszklonej, tworzącej fasadę hotelu, od strony Placu Vendome. Usłyszano wtedy lecący z auta, triumfalny zew:

— En avent Ivan! — Śmiało, Le Droz! — Na złamanie karku Ramon!!

Zabrzmiał głośno klakson — szyba zarysowała się tysiącem błyskawic — i ustąpiła. Auto wytoczyło się na trotuar — na szczęście pusty o tej spóźnionej porze. Nagle młody człowiek prowadzący je, wypuścił kierownicę. Ręka jego była cała we krwi...

— Przesiądź się — rzekł do siedzącego obok chłopaka, który tulił do piersi murzyńskie bóstwo, naszpikowane szklannemi kolcami. — Palce moje straciły władzę...

Auto ruszyło znowu, tym razem naprawdę na złamanie karku. Nieliczni widzowie, którzy zdołali zachować jeszcze niejakie poczucie rzeczywistości, zapewniali później, iż widzieli nogi dziwnego szofera, prowadzącego teraz wóz, na kole jego kierownicy...

* * *

W ten sposób Ramon de Jasarte zużył swoją część wygranej fortuny.

* * *

Roberta zwróciła obraz Renoira Armandowi Plessoye — i umeblowała dwa dalsze pokoje swego mieszkania.

* * *

Vivant popłacił długi, jakie miał — otworzył na nowo „Huśtawkę" dla Miszy — i kupił samolot.

* * *

Le Droz zwrócił pożyczone od pani Mettenat pieniądze i zmusił ją do przyjęcia czynszu za 10 lat zgóry. Następnie, w pewnym klubie, gdzie najszaleńszą prowadzono grę, wziął jednego wieczora bank, podczas partji baccarata, w nadziei, iż zdobędzie potrzebną sumę na założenie własnego dziennika. Bank ten runął po czterdziestu minutach.



Auto wytoczyło się na trotuar...

X.

Była godzina 8 rano. Tak jak codziennie, Armand Plessoye był już oddawna przy pracy, ze swymi sekretarzami. A było ich troje: młoda Rosjanka, która mówiła bezmała wszystkiemi językami świata, — 40-letni adwokat, w binoklach, z wąsami i małym pęczkiem włosów na brodzie (t. zw. „muszką"), prawdziwy fanatyk porządku i paragrafów prawa — i był Souffi. Ten ostatni, dziennikarz, z pochodzenia „Lewantyńczyk", którego Plessoye przywiózł ze sobą z Bliskiego Wschodu, i zrobił zeń swego współpracownika. Zetknął się z nim podczas wywiadu, którego udzielił mu w czasie swej podróży wywiadowczej do Syrji. Souffi zwrócił na siebie uwagę ministra cynizmem, cechującym jego niezwykłą inteligencję i wielką swobodą swych wyrażeń.

Souffi, pozostawszy, jak zwykle w końcu sam na sam z byłym ministrem, odezwał się:

— Czy przypomina pan sobie to zajście na balu w Hotelu Królewskim, zeszłego tygodnia?

— Tych warjatów, co wyjechali autem przez oszkloną fasadę z hotelu?

— Prasa poważna wspomniała pobieżnie tylko o całej tej historji — i nie wymieniła ich nazwisk. —

— Raz jeden przynajmniej gazety dały dowód zdrowego sensu —

— Ale prasa brukowa była mniej dyskretną... Z niej to dowiedziałem się że między tymi warjatami był pewien młody człowiek... znajomy pański. — Jacques le Droz...

— Le Droz?! — zawołał, grgnąwszy nerwowo Plessoye. — Masz dobrą pamięć Souffi... Nie pamiętasz, czy było ich czworo w tem aucie?

— Trzech mężczyzn i jedna kobieta... Tak powiadają...

Sekretarz zauważył teraz, że Plessoye wyraźnie zawahał się, zanim rzucił ostatnie pytanie.

— A czy podają nazwiska tamtych?

Teraz znów Souffi skonstantował i to z całą pewnością, że były minister przyjął z prawdziwą radością jego przeczącą odpowiedź...

— Dziękuję ci, Souffi — zakończył rozmowę Plessoye. — Zobaczymy się dziś wieczorem, w Senacie.

Plessoye zaczął teraz przechadzać się szybkiemi krokami wzdłuż swego gabinetu. Na podłodze znaczyła się bardziej wychodzonemi kwadratami posadzki, wyraźna droga. Wędrówka na tej dróżce usposabiała widocznie specjalnie do medytacji. Plessoye mówił nieraz, śmiejąc się, że chodząc tam i zpowrotem, po owej prostej, łączącej dwie ściany jego gabinetu, obszedł już całą kulę ziemską wokoło, wędrując w myślach po wszystkich krajach tego świata. W wędrówkach tych powziął wiele planów i zadecydował o niejednem wystąpieniu, które odbiło się echem na losach wielu krajów i narodów. Upadki gabinetów — przymierza — powstawanie jednych, a ruina innych przedsiębiorstw na najszerszą skalę, rodziły się, — i to zawsze szybko, jakby od jednego rzutu — na tej wydeptanej na podłodze linji.

Tego dnia po wyjściu Souffi'ego Plessoye nie był w stanie zdefinjować reakcyj, jakie wywołała w nim wiadomość o niedorzecznym wyczynie czworga przyjaciół. W tem, czego doznawał, było i niezadowolenie i niepokój i obawa przed własną słabością — strach, że gotów jej ulec i pójść za tym porywem wewnętrznym, którego głosu starał się nie słyszeć. A zarazem było w tem poczucie, że takie ustępstwo byłoby czemś w rodzaju spełnienia serdecznego obowiązku... Wszystko to mroczyło umysł, zazwyczaj taki jasny i trzeźwy, byłego ministra i odbierało mu pewność siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi

ŚWIATŁA WIELKIEGO MIASTA.

Gdy noc zapadnie nad Paryżem, rozbłyskuje on tysiącami świateł, które wydobywają ze starych murów nowy, we dnie nieznany urok. Oto widok na Sekwanę z jej mostami i gmach Conciergerie. (Fot. France-Presse).



Życie artystyczne

ZIUTA BUCZYŃSKA W SZTOKHOLMIE.



Ziuta Buczyńska, jedna z najwybitniejszych artystek polskiego baletu, laureatka międzynarodowego konkursu tańca w Wiedniu, została na styczeń b. r. zaproszona do Stockholmu na kilka gościnnych występów. Ziuta Buczyńska cały program wypełni dwunastoma nowemi tańcami; fragment jednego z nich „suity dziecięcej" przedstawia nasza ilustracja. Występy Ziuty Buczyńskiej będą świetną propagandą sztuki polskiej zagranicą.

HOŁD PAMIĘCI MARSZ. PIŁSUDSKIEGO W TARNOPOLU.



Ubiegłego miesiąca odsłonięto w Tarnopolu największy w Polsce pomnik Marszałka Piłsudskiego, będący dziełem utalentowanego warszawskiego artysty-rzeźbiarza, Apolinarego Głowińskiego. Pomnik postawiono w dobrze wybranem miejscu, a dzięki swym walorom artystycznym stał się on ozdobą pięknego kresowego miasta, z którego pochodzi zresztą twórca pomnika. Głowiński jest również twórcą portretu w bronzie marszałka Sejmu Trąmpczyńskiego.

SUKCES SZTUKI STUARTÓW.



Teatr Polski w Poznaniu wystawił ostatnio znaną sztukę Filipa i Aimée Stuartów „Szesnastolatkę". Wartość sztuki, jak również doskonała gra aktorów zyskały sztuce duży sukces u publiczności poznańskiej. Na zdjęciu naszem widzimy p. Łabuńską, która grała świetnie rolę Jenny, oraz p. Michała Plucińskiego w roli angielskiego adwokata.

STUDJUM PORTRETOWE JÓZEFA KIDONA.



Jednym z wybitniejszych artystów-malarzy, zamieszkujących obecnie ziemię śląską, jest bezwątpienia Józef Kidon, który swe studja malarskie ukończył w Paryżu. Kidon poświęca się również malarstwu portretowemu i jest autorem cyklu charakterystycznych studjów śląskich, jak również zresztą licznych kompozycyj dekoracyjnych i pięknych kobiecych główek. Artysta położył duże zasługi przy organizowaniu życia artystycznego na Śląsku.

Z ŻYCIA ARTYSTYCZNEGO KATOWIC.



Czesław Kuryatto, którego autoportret podajemy, od lat kilku osiadł w Katowicach, poświęcając swój wybitny talent portrecisty ziemi śląskiej. Kuryatto odbył studja malarskie w warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych i jest jednym z członków założycieli „Bractwa św. Łukasza" w Warszawie. Pełen rasowego malarskiego temperamentu Kuryatto cieszy się wielkiem uznaniem w stolicy polskiego przemysłu.

POLSKA JEANETTE MAC DONALD.



Urocza artystka ekranu polskiego, Tola Mankiewiczówna, znana nam z „Ślubów ułańskich", „Manewrów miłosnych" i innych, odwiedziła ostatnio Kraków i wystąpiła na deskach teatru „Bagatela". Nie potrzeba podkreślać zarówno zewnętrznych, jak też artystycznych walorów p. Toli, wystarczy wspomnieć, że występy jej spotkały się ze szczerem zainteresowaniem publiczności krakowskiej. Podczas swego pobytu p. Tola Mankiewiczówna zwiedziła również Pałac Prasy, to też widzimy ją oglądającą montaż „Asa" w towarzystwie swego męża p. T. Raabe (na prawo) oraz redaktora J. Lea.



Od czego zaczyna się fryzura dla blondynek, nazwana „kaskadą piękności"...



Przygotowanie loczków z wilgotnych włosów do fryzury „kaskada piękności".



Artystka dramatyczna Constance Goodridge w uczesaniu zwanem „kaskada piękności".

Główki w loczkach.



Rokokowa peruczka, średniowieczny strój głowy, fryzura Egipcjanina, uczesanie Greczynki, biedermayerowskie loczki, Grek w laurowym wieńcu, francuski typ fryzury, peruka renesansowa.

Różne ewolucje przechodzi na tle mody, od wieków się odmieniająca -- fryzura, upięta z własnych czy sztucznych włosów kobiety. Wprawdzie i mężczyźni podlegali dawniej tym prawom, ale że obecnie zadowalają się gładkiem uczesaniem krótkich włosów, mniej jest interesującą sprawa ich fryzury.

Natomiast główka kobieca to pole popisu dla mistrzów sztuki fryzjerskiej, którzy rzeczywiście zadają sobie dużo trudu, aby zaspokoić ciągle nowości i zmiany żądne... Ewy.

Karnawał obecny stoi pod panowaniem loczków, uzyskiwanych, z odrośniętych już nieco po krótkiem strzyżeniu, włosów pięknej pani. Niezbyt przyjemny okres nadrastania włosów przebyłyśmy jak rekonwalescencję, po której z przyjemnością zezwalamy na misterne „wy

Fryzura dla brunetki nazwana „gazellą".







Piękna fryzura dla brunetki, nazwana przez swego twórcę „gazellą".

Fryzura na codzień w loki nad karczkiem przy gładko zaczesanych włosach nad czołem.



Ostatnia czynność przy wieczorowem uczesaniu głowy — upięcie efektownego grzebienia

czyny" rąk mistrza sztuki fryzjerskiej, pod palcami którego układają się fale i loczki.

Naturalnie, że podstawą obecnej fryzury jest nadal trwała ondulacja, przy pomocy której włos, specjalnie zwilżany odpowiedniemi płynami, układa się posłusznie w fale i loczki. Po wysuszeniu włosy zachowują nadany sobie kierunek i rozsypują się delikatnie, tworząc zamierzone z góry fale i loki, zaczesywane jeszcze przy pomocy grzebieni.



Przygotowanie loczków do wodnej ondulacji to osobna sztuka zręczności.

Fryzura na użytek codzienny jest prostsza w wykonaniu, mniej pracowita i mniej kłopotliwa w przyczesywaniu. Wieczorowa natomiast służy najczęściej tylko na jeden raz i bez pomocy fryzjera nie da się jej własnoręcznie odświeżyć. Zdobią ją w tym roku już nie djademy, ale grzebienie, wpinane od niechcenia między loki.

Na odbytym niedawno w Wiedniu kongresie fryzjerów, nie ustalono jaki kolor włosów jest obecnie najmodniejszy. Ta tylekroć tak emocjonująca kwestja nie była brana pod uwagę. Kolor włosów pozostał niejako na uboczu. Wolno mieć włosy naturalne, jakiemi obdarzyła nas matka natura. Natomjast dużo uwagi poświęcono sprawie należytej pielęgnacji włosów, których największym powabem jest ich miękość i połysk. Dążeniem mistrzów fryzjerskich jest zapewnienie klienteli tego właśnie pociągającego połysku, przy którym włosy każdego odcienia wyglądają efektownie, przy dzisiejszem uczesaniu w loczki.

Umiejętność czesania loków jest sztuką dość indywidualną — im wyższy jej stopień tem bardziej czarująco wygląda pani po odsłonięciu hełmu, za którym odbywa się przeobrażenie fryzury. Utrzymanie loków w należytym stanie nie jest rzeczą łatwą. Pomoc specjalistów jest konieczna dość często, a lepiej wyrzec się takiej fryzury, niżeli nosić rozburzone loki. **Mewa.**

CURLING W ST. MORITZ.



Na lewo: Amatorzy curlingu rozporządzają oryginalną bronią w postaci.. mioteł!

Na prawo: Curling na lodzie jest miłym i emocjonującym sportem.

Poniżej: Golf polega przedewszystkiem na rozważnem celowaniu w piłkę.





Ktokolwiek będzie w St. Moritz zimową porą, kiedy wyczerpany licznemi upadkami na nartach dostanie zawrotu głowy na torze bobsleighowym, wymarzie na konkursach hippicznych i skikjöringowych i kark mu zesztywnieje od podziwiania skoków narciarskich, kiedy zakocha się w motylu tańczącym na lodzie i będzie miał wszystkiego dosyć, odpoczynkiem dla oczu i umysłu będzie obejrzenie gry w „curling".

Spokojni, flegmatyczni starsi panowie t. zw. „odpowiedzialni" panowie w kolorowych pulloverach, jumperach, szalach poważnie celebrują tę grę, która jak wszystkie narodziła się pod niebem Szkocji.

Gładka powierzchnia lodu odbija spłaszczone kształty okrągłych „stone'ów" pomalowanych w jaskrawe kolory. Dziwny ten przyrząd sportowy, przypominający z daleka brzuchaty czajnik z uchwytem u góry jest jak nazwa wskazuje z ciężkiej masy kamiennej i mając średnicy 25 do 30 cm. waży 15 do 22 kg. Puszczony wprawną ręką ślizga się po lodzie do 50 m. Każdy gracz, mający dwa takie „stone'y" zaopatrzony jest w solidną miotłę ryżową i zamiata drogę przed niemi, ażeby umożliwić im dotarcie do celu, który nosi nazwę „tee". Dopuszczalnem jest także zbijanie „stone'ów" przeciwnika i zagradzanie mu drogi własnemi. Gra emocjonująca, wymaga niewielkiego wysiłku a zarumienione oblicza dżentelmenów i pogodny ich wyraz same mówią o pożyteczności tego sportu.



Na lewo: Oto typowa scena rozgrywki curlingowej w St. Moritz.

Nieśmiertelny pan Pickwick Dickensa jeżeli nie znał jeszcze tej gry to znakomite miałby wyniki zważywszy, że temperament jego i tusza spełniały konieczne prawie warunki do jej uprawiania.

Inną grą dla starszych panów w miarę emocjonującą i zdrową jest golf.

Narodził się on w Szkocji, a Anglosasi przejęli go i stał się wśród nich tak popularnym, że niema na świecie zakątka, gdzie jest dwu Anglików gdzie nie byłoby także pola golfowego. Przedewszystkiem Anglja ma ich mnóstwo z racji tej chociażby, że będąc krajem-parkiem o kompletnym prawie zaniku przemysłu rolnego, ma wiele przez naturę znakomicie wyposażonych warunków do tego. Więc teren t. zw. „link", obejmujący kilka hektarów falistych łąk z naturalnemi przeszkodami jak wzgórza, laski, doły, potoki, ma 9 do 18 miejsc zwanych „tee", w których znajdują się otwory „holes", głębokie na 10 cm., oddalone od siebie w rozmaitych odległościach od 100 do 500 m. tak ponumerowanych, że ostatni kończący grę znajduje się w pobliżu pierwszego. W ten sposób w czasie gry przechodzi się parę kilometrów. Jest to wymarzony sport dla starszych panów. Ruch, świeże powietrze, łagodny charakter gry, życie klubowe (istnieje w Anglji niezliczona ilość klubów golfowych) wszystko to stwarza falangi graczy ze starszego pokolenia.

Na czem gra polega? Małą kauczukową piłkę uderzeniem kija golfowego należy wprowadzić pokolei do poszczególnych „holes". Zważywszy na to, że o wygranej decyduje celność uderzenia, jaknajmniejsza ich ilość, dla odbycia całej drogi, duże trudności napotykane po drodze w urozmaiconym terenie, wszystko to czyni tę grę skomplikowaną i niełatwo zasłużyć sobie na opinję dobrego gracza. Co do techniki uderzenia, taktyki i strategji prowadzenia piłki istnieją podzielone zdania i cała literatura specjalna broni rozmaitych teoryj.

Sam kij golfowy przechodził rozmaite ewolucje i w rezultacie każdy gracz jest zaopatrzony w komplet „clubs", z których każdy jest przeznaczony do uderzeń w specjalnych warunkach. Różnią się kształtem i nazwami: niblik, iron, cleek, putter, driver, brassie i t. p. Wszystkie w futerale nosi za graczem chłopak t. zw. „caddie", który pozatem dźwiga chorągiewki do trasowania i piłki.

Naturalnie oficjalnym strojem do golfa jest cap, pullover, wogóle dużo wełny, krótkie spodnie, knickerbockery i buty golfowe.

Chcecie wiedzieć jak golf wygląda? Jedźcie do Anglji lub Ameryki a zapalony amator golfu, wasz znajomy, znajdzie dla was miejsce w aucie kiedy wybiera się na week-end na zieloną trawkę!

Zygmunt Haupt.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PASZTECIKI RYBNE. Ugotować mleczka, wątróbki, oraz ikry rybne na smaku z jarzyn. Drobno posiekaną małą cebulkę zasmażyć na łyżce masła, dodać łyżkę mąki, zasmażyć, podlać łyżką rosołu z ryb oraz łyżką gęstej śmietany, dodać posiekane mleczko, wątróbki i ikry, wymieszać, nałożyć w muszelki, posypać zasmażoną w maśle bułeczką, skropić masłem i zapiec w piecyku przez 10 minut.

BULWY: mało u nas używana jarzyna, coraz częściej ukazuje się na targu. Podobna do ziemniaków, w smaku zbliżona do kalafjorów, powinna być więcej używana szczególnie teraz, gdy wybór jarzyn skąpy. Sposób przyprawy jest rozmaity. Należy je przedewszystkiem obrać, sparzyć i następnie ugotować w słonej wodzie. Mogą być podane jak kalafjor z rumianem masłem i bułeczką lub pokrajane w talarki, opanierowane w jajku i bułce i osmażone na rumiano, następnie podane z sosem. Smaczne są też

BULWY ZAPIEKANE W BESZAMELU. Oto przepis: pokrajane w talarki, następnie ugotowane w słonej wodzie, osącza się bulwy na sicie, układa warstwami w rondelku wysmarowanym masłem, przesypując tartym parmezanem. Osobno sporządza się sos beszamelowy z łyżki masła i mąki zasmażonych i zalanych na gęsto mlekiem. Sos podprawia się solą, pieprzem i troszką soku cytrynowego, łyżką parmezanu, wkońcu zaciąga się go żółtkiem. Sosem tym zalewa się bulwy, posypuje tartą bułką, kropi masłem i zapieka w gorącym piecu przez 10 minut.

JAJA W SZPINAKU zapiekane. Ugotować czysto obrany szpinak, odlać z wody i nie siekając, wymieszać z łyżką masła i ułożyć w rondelku natłuszczonym i wysypanym bułką, na szpinak nałożyć kilka jaj ugotowanych na twardo lub wpuszczanych na gotującą wodę, t. zw. jaj w koszulkach, polać sosem śmietanowym i zapiec w piecyku. **Przepis na sos:** łyżkę masła i tyleż mąki zasmażyć, zalać 1/4 l kwaśnej śmietany, dodać szczyptę soli i pieprzu oraz 2 żółtka, następnie ubijać na parze aż zgęstnieje.

ZRAZY Z SANDACZA Z PIECZARKAMI. Oczyszczonego sandacza rozpłatać przez pół, odjąć głowę i ości, z których wygotowuje się rosół z jarzynami. Mięso ryby kraje się w równe zrazy, które się soli i szybko osmaża na maśle lub oliwie. W rondelku rozpuszcza się łyżkę masła, wrzuca 5 dkg oczyszczonych i pokrajanych pieczarek, układa następnie zrazy, posypuje troszką pieprzu i dusi, podlewając wygotowanym z głowy i ości rosołem. Wkońcu podlewa się szklanką śmietany z rozkłuconą w niej łyżeczką mąki, zagotowuje i podaje z ziemniaczkami lub makaronem.

PARZONE KNEDELKI Z MORELAMI. 10 dkg suszonych moreli lub brzoskwiń wymyć, zamoczyć przez noc w ocukrzonej wodzie, wyjęte z wody osuszyć na serwecie. Zagotować pół litra mleka z wodą, osolić i zasypać na gotujące mleko 20 dkg mąki sypkiej, następnie ubijać na kraju blachy aż ciasto od ścian rondelka odstanie. Do ostudzonego wbija się 1 jaje i 1 żółtko, ubijając ciągle na gładkie ciasto, które się wykłada na posypaną mąką stolniczkę, kraje w kawałki i zawija w nie, przygotowane uprzednio morele. Gotuje się tuż przed wydaniem (stać nie śmie długo), posypuje smażoną bułeczką zmięszaną z cukrem i polewą suto masłem.

LEGOMINA Z BISZKOPTÓW. 25 dkg mączki cukrowej, ubija się z dwoma całemi jajami przez 10 minut, dodaje 4 dkg dobrego kakao, 12 dkg mielonych orzechów włoskich, kieliszek rumu i 12 dkg osobno utartego na pianę masła deserowego. Podłużną formę wykłada się biszkoptami, skropionemi mlekiem, pokrywa warstwą kremu nakłada znów biszkopty i t. d. aż cały krem wyjdzie. Formę z legominą zostawia się przez noc w zimnie. Na drugi dzień wyrzuca się legominę na półmisek i posypuje cukrem z wanilją i tartą czekoladą lub nakłada na nią bitą kremową śmietankę.

TORT Z POZOSTAŁYCH BIAŁEK. 8 białek ubić na tęgą pianę, dodać 25 dkg cukru, 25 dkg tartych orzechów laskowych pół na pół z migdałami, 5 dkg tartej czekolady, szczyptę cynamonu i skórki cytrynowej. Masę, nałożoną do natartej oliwą tortownicy, piecze się w letnim piecu. Podaje się z bitą śmietaną lub kremem czekoladowym.

SAŁATA Z CZERWONEJ KAPUSTY I FASOLKI. Poszatkowaną drobno kapustę gotuje się w słonej wodzie, odcedza i zalewa winnym octem z czego odzyskuje z powrotem kolor. Osobno gotuje się białą fasolkę sałatową, uważając, aby się nie rozpadła. Gotową i ostudzoną zaprawia się octem lub cytryną oraz kilku łyżkami majonezu. Na okrągłym półmisku układa się w środku kapustę, przyprawioną oliwą, solą i cukrem, wokoło robi się pierścień z białej fasolki. Z paru jaj ugotowanych na twardo robimy na środku sałaty przybranie w kształcie kwiatu. Jaja kraje się w ćwiartki i układa białkiem do góry niby płatki słonecznika, wolny środek zaś wypełnia się siekanem żółtkiem.

Sc. Ko.

NOWOŚCI KUCHENNE



Praktyczny widelec do przytrzymywania ziemniaków w czasie ich obierania na gorąco gdy je podajemy w łupinkach. Przy pomocy tego widelca łatwo je trzymać i łatwo nieuszkodzone położyć na talerzu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 4 — **Styczeń** — Dni 31
Niedziela **19** Henryka	Paszteciki rybne zamiast zupy lub zupa nea politańska z parmezanem. Ozorki wieprzowe w szarym sosie. Pieczona indyczka z kompotem mieszanym. Krem czekoladowy z kruchemi ciastkami. Kolacja: Szynka z sałatką francuską.
Poniedziałek **20** Fabjana i Sebast.	Rosół z lanym makaronem. Sztuka mięsa w sosie musztardowym. Polędwica wieprzowa z czerwoną kapustą duszoną. Suszone śliwki w ciecie. Kolacja: Ruskie pierożki z słoninką.
Wtorek **21** Agnieszki p	Zupa z perłówki zaciągnięta żółtkiem. Nereczki cielęce smażone. Pierś gęsia faszerowana z sałatą ćwikłową. Pączki parzone. Kolacja: Risotto z podróbką z drobiu.
Środa **22** Wincentego m.	Kwasówka z grzybkami. Wątróbka smażona naturalna. Kotlety wieprzowe siekane z ostrym sosem i ziemniaczkami. Tort domowy. Kolacja: Szekely gularz.
Czwartek **23** Zaślub. NPM	Zupa grochowa z grzankami. Czernina z zającа z kluskami. Zraziki cielęce z ryżem. Legomina biszkoptowa. Kolacja: Omlety z grzybkami.
Piątek **24** Tymoteusza bisk.	Zupa porowa z grzankami. Bulwy /salsefia/ zapiekana w beszamelu. Zrazy z sandacza w śmietanie z makaronem. Knedle parzone z morelami. Kolacja: Ryba w majonezie.
Sobota **25** Nawr. św. Pawła	Rosół z kaszką. Buletki z mięsa rosołowego w sosie pomidorowym. Wędzony karczek wieprzowy z puree z grochu. Kompot mieszany. Kolacja: Jaja w szpinaku zapiekane.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie z N-ru 2-go.

1. DZIWNE POKREWIEŃSTWO.

„Mego ojca synem“ może być tylko „mój brat“ lub „ja sam“. Ale mówiący to pan nie ma brata, musi więc to być widocznie on sam, czyli że jest on ojcem sportretowanego młodzieńca, młodzieniec zaś jego synem.

2. HAZARD NA TORZE.

12 zł. na Lorda, 15 zł. na Junaka i 20 zł. na Astarto.

3. KŁOPOTY WINDZIARZA.

Windziarz wziął za pierwszym razem 7 beczek po 2 centnary i 1 jednocentnarową, za drugim razem 2 po 3 centnary, 3 po 2, 3 po 1, za trzecim razem 3 po 3 centnary, 1 dwucentnarową i 4 po 1, razem w trzy nawroty windy.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. PREZENTY GWIAZDKOWE.

Dziadzio miał siedem wnuczek: Hanię, Irkę, Jankę, Kasię, Lilkę, Marysię i Olę. Ponieważ zbliżała się gwiazdka, więc każda wnuczka posłała prezent jednemu lub kilku — zależnie od swych sympatyj — z ich siedmiu wspólnych przyjaciół.

Hania wysłała najwięcej prezentów, Irka następną po niej ilość, a Ola najmniej.

Paweł otrzymał najwięcej upominków, Stefa następną po nim ilość, a Wacław najmniej.

Wiadomo, że Stefan, Henryk, Antoni i Jan dostali prezenty od Hani; Stefan, Henryk i Czesław od Irki; Czesław i Jan od Janki. Wogóle dziewczęta wysłały siedemnaście upominków.

Od których panien otrzymał swe prezenty Paweł?

2. WYCIECZKA AUTOBUSEM.

Dwoje młodych ludzi wybrało się na wycieczkę autobusem, ponieważ jednak nie mieli dużo pieniędzy, więc zdecydowali, że drogę powrotną odbędą pieszo. Jeżeli autobus jedzie z szybkością 15 km. na godzinę, a oni pieszo idą z szybkością 5 km. na godzinę, to jak daleko mogą pojechać, aby zdążyć wrócić w osiem godzin od chwili wyjazdu?

3. KŁOPOTY Z CZARNYMI.

— Miałem straszne kłopoty z mymi czarnymi — pisał Sir Gorge z Afryki. — Towarzyszyli mi w wyprawie Sambo, Jumbo, Tembo i Limbo. Gdy doszło do przeprawy przez Limpopo, wynikły nieprzewidziane trudności. Nie mogłem pozostawić samego Jumbo ani z Sambo ani też z Tembo, ani również Tembo z Limbo. Nasza łódź była na dwie osoby, a obchodzić się z nią umiałem tylko ja i Sambo. W dodatku Limbo za żadną cenę nie chciał się pierwszy przeprawić na drugi brzeg.

Wyobraźcie sobie, ile czasu trwała przeprawa przez tę przeklętą rzekę i ile razy łódka musiała przejeżdżać tam i z powrotem.

W jaki sposób Sir George dokonał przeprawy?

4. SZCZEGÓLNE MIASTO.

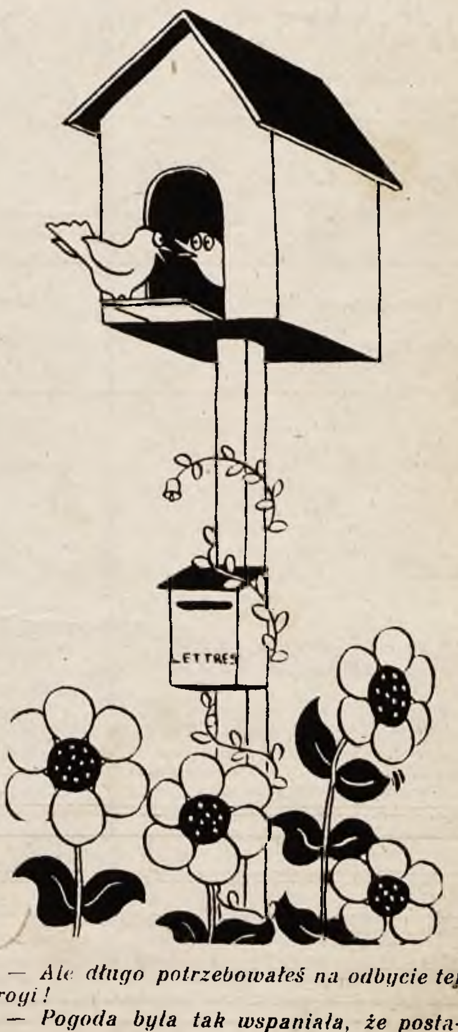
W pewnem zakazanem miasteczku co dziesiąty mieszkaniec nazywał się Celestyn, a co dwudziesty — Telesfor. Powstaje ciekawe i zabawne zagadnienie — kogo jest tam, wobec tego więcej, Celestynów, synów Telesforów, czy Telesforów, synów Celestynów?

5. PRAWDOPODOBIEŃSTWO.

W żadnej chyba dziedzinie rozrywek matematycznych nie popełnia się tylu błędów, co w dziedzinie rachunku prawdopodobieństwa. Naprzykład proponujemy czytelnikom obliczyć, jakie są szanse wyrzucenia przynajmniej czterech orłów lub czterech reszek naraz przy rzucie na stół pięciu monet?

HUMOR ZAGRANICZNY

GOŁĄB POCZTOWY TURYSTĄ.



— Ale długo potrzebowałeś na odbycie tej drogi!

— Pogoda była tak wspaniała, że postanowiłem wrócić pieszo ..

(„Rire“)

(Dokończenie ze strony 8-ej).

Z wybuchem wojny wycofuje się te znaczki.

Położenie Francji jest zupełnie bierne, ale i tu możnaby wysuwać pewne wnioski z przejścia z motywów allegorycznych do rzeczowych. Wybudowanie największego i najszybszego okrętu świata „Normandie“ jest naturalnie upamiętnione, jak również i dwa inne bardzo ciekawe rocznice: założenie Akademji Francuskiej przez Richelieu w 1635, oraz powstanie pierwszych kas oszczędności według pomysłu Benjamina Delessert w 1735 r. Czy Szanowni Czytelnicy „Asa“ wiedzą kto odkrył Kanadę? Jakób Cartier — Francuz, którego w 400 lat od daty wylądowania w okolicach Quebec'u przypomniała sobie ojczyzna — a dla wielu osób nowiną będzie, iż imiennik jego jest w tem największem dominjum prezesem rady ministrów.

Pomiędzy niemieckim „młotem“ a włoskim „kowadłem“ wiedzie Austrja bardzo niepewny żywot. Prądy rojalistyczne nurtują z coraz to większą siłą ludność, chcącą dzięki restauracji Habsburgów uchronić się przed narodowymi socjalistami. Czy podobizny wielkich wodzów dawnego cesarstwa nie są dowodem, iż naród ten nie chce być republiką? Ze serji tych znaczków dobroczynnych możemy reprodukować tylko jeden, a wybraliśmy nie podobiznę admirała Tegetthoffa lub feldmarszałka Hötzendorfa, tylko księcia Eugenjusza Sabaudzkiego ze względu na to, iż znaczek ten arcydzieło sztuki rytowniczej — jest bardzie charakterystyczny dla odzwierciedlenia dążeń rojalistycznych.

Holandja lubuje się w motywach kwiatowych, ale i tradycje dawnych wieków odżywają w antycznych postaciach. Sąsiad jej: Belgja przeżył wielką tragedję w związku z katastrofą automobilową króla, w której zginęła jego młoda i piękna małżonka. Pełna wdzięku jej postać została uwieczniona na znaczkach dobroczynnych, a z punktu widzenia filatelistycznego cieszył się on największem powodzeniem w ub. roku.

Po drugiej stronie „Wielkiego Stawu“ okazało się wreszcie, że i krajobraz Nowego Świata może zupełnie śmiało iść w paragon z urokiem gór szwajcarskich. Serja marek przedstawiająca 10 parków narodowych, pod względem wykonania dorównująca słynnym markom Bośni, przewyższa je, jeśli chodzi o temat przedstawiony. Najpiękniejsze są chyba wartości za 3 c. (jezioro i góra Rainier) oraz 1 c (Pueblo Indjan w Mesa Verde).

Postęp techniczny idzie coraz dalej, kiedyś może będę miał sposobność przedstawić rozwój komunikacji „uchwycony wprost na „gorącym uczynku“ przez znaczki pocztowe, dzisiaj jednak nie można wprost pominąć 2 znaczków przedstawiających pierwszą lokomotywę niemiecką z r. 1835 i najnowszy model „1935“.

Ale i Olimpjada w Garmisch-Partenkirchen, w której udział weźmie 30 narodów, znalazła swój odpowiednik w filatelistyce. Tak więc zwierciadłem życia współczesnego, niejaką „kopertową historją“ jest znaczek docierający wszędzie.

Witold Horain.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

F. A. Ossendowski zajmuje się w swej ostatniej powieści p. t.: **„Mocni ludzie"**, wydanej w pięknej szacie graficznej przez **„Książnicę-Atlas"**, okresem z naszej historji, którego echa dawno nie brzmiały w naszej literaturze powieściowej. Wziął sobie bowiem za temat tej książki okres powstania styczniowego. Ossendowski nie poszedł jednak drogą łatwych reminiscencyj, lecz dał powieść najzupełniej odmienną i o innym charakterze, niż możnaby sądzić z subtytułu, określającego okres, na którego tło książka została napisana. Przedstawił nam bowiem w „Mocnych ludziach" ludzi naprawdę mocnych, którzy skazani przez sąd rosyjski na pewną śmierć na Syberji nie poddali się, nie opuścili rąk w rozpaczy, lecz nietylko potrafili wywalczyć własne życie bez uszczerbku swego polskiego charakteru, ale także zaczęli oddziaływać na okolicznych Rosjan, na półdziką ludność tubylczą, cywilizując ją i do tego stopnia występując szlachetnie i kulturalnie, że nawet władze rosyjskie mają dla tych wygnańców szacunek, a w końcu policjant rosyjski sam dopomaga im do ucieczki do Ameryki. Zwracają uwagę w książce piękne opisy przyrody syberyjskiej i polowań w puszczy. Książka, chociaż opisuje epokę martylologji polskiej, czyni wrażenie optymizmu i siły, która pozwoliła w najcięższych nawet czasach nietylko nie ugiąć się Polakom, lecz nawet okrzepnąć im jeszcze więcej w wytrwałości narodowej, tworząc przez to podłoże pod przyszłą niepodległość.

w. z.

NA SCENIE.

Sztuki **Shawa** są w Polsce bardzo popularne i stwierdzić trzeba, są nagół bardzo inteligentnie i bardzo dobrze grane. Nie dają one wiele kłopotu inscenizatorom, ale zato nastręczają poważne trudności reżyserowi i aktorom, cały bowiem ich wdzięk sceniczny i wartość polegają na dialogu.

Teatr krakowski gra wciąż jeszcze z dużem powodzeniem **„Kandidę"**, Teatr Mały w Warszawie „Żołnierza i bohatera", a **Teatr Wielki** we Lwowie przypomniał napisaną w roku 1906 sztukę **„Major Barbara"**. Niezwykłą popularność, nawet dawnych sztuk Shawa, tłumaczyć należy tem, że nie straciły one i dziś nic na aktualności. W „Majorze Barbarze" udowadnia Shaw, że największem złem na świecie jest nędza. Przeciwko ubóstwu, jako złu społecznemu, protestuje Shaw bardzo energicznie. Naturalnie i w tej sztuce Shawa, obok wielu bystrych uwag, głębokich myśli, dowcipnych powiedzeń, są celowo paradoksy. Shaw gwałtownie atakuje wojnę, by zakończyć komedję kapitulacją pacyfizmu na rzecz przemysłu wojennego. Jak wszystkie sztuki Shawa, posiada „Major Barbara" kapitalne sceny i plastyczne figury.

Lwowskie przedstawienie przygotowane zostało reżyserskio bardzo trafnie przez Bronisława Dąbrowskiego, a pomysłowe dekoracje Andrzeja Pronaszki harmonizuje ze sztuką, z dobrą grą artystów, z których na czoło wykonawców wybijają się E. Dziewońska (major Barbara) i Białoszczyński (Andrzej Undenschaft). Komizm sztywnej lady świetnie uwydatnia Jakubińska, a reszta zespołu gra bardzo starannie.

Popularna obecnie na scenach polskich sztuka Stuartów **„Szesnastolatka"**, zawędrowała na scenę **poznańską**. **Teatr Polski** przygotował ją bardzo starannie i znalazł dobrych odtwórców głównych ról. W roli matki sukces odniosła Łabuńska, a doskonałą **szesnastolatką** okazała się Galińska. 14-letniego podlotka niefrasobliwie gra Porębska, babkę Sachnowska, pyszny typ służącej daje Czarnecka. W rolach męskich ukazują się na scenie Pluciński i Konarski, a za kulisami pozostał inteligentny reżyser sztuki, R. Zawistowski.

Teatr Miejski w Bydgoszczy, który w bieżącym sezonie główny nacisk położył dla zadowolenia szerokich sfer publiczności na operetce i łatwostrawnej komedji, gra obecnie z dużem powodzeniem komedję Z. **Przybylskiego „Wicek i Wacek"**, będącą zawsze sukcesem scen popularnych. Przypominają się nam stare, zabawne typy, które z humorem i werwą odtwarzają na bydgoskiej scenie: Szyndler (Wacek), Rewkowski (Wicek), Stoma (Klepacki), Czechowska (Paulina) i inni. Miło Helenę gra Paszkowska.

W **wileńskiej „Pohulance"** ukazała się nowa sztuka sowiecka p. t. **„Szczęśliwe małżeństwo"**. Sztuki sowieckie budzą u nas duże zainteresowanie, ale też poważne zastrzeżenia. Zapomina się o nich, widząc bardzo staranną grę artystów wileńskich, zwłaszcza, doskonałą odtwórczynię roli głównej, E. Wieczorkowską. Dobrą artystką okazała się Polakówna, która zdobyła publiczność wileńską debjutem w „Szesnastolatce". Bardzo dobrze zagrali swe role Szpakiewicz, Szymański i Dunin-Rychłowska. (swb).

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 19 I. 1936 r.

10.30: Transmisja nabożeństwa z Warszawy.
12.15: Poranek muzyczny z Łodzi.
15.00: Godzina rolnika.
16.00: „Łamigłówki" dla dzieci.
17.00: Muzyka taneczna.
17.40: „Migawki regjonalne" audycja z Poznania.
18.00: Suita taneczna — Teodor Blumer.
18.30: Słuchowisko oryginalne p. t. „Rekin" T. Sygietyńskiego i J. Weldena.
20.00: Koncert solistów.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30: „Podróżujmy": „Rumunja à la fourchette" — feljeton.
22.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 20 I. 1936 r.

12.15: Muzyka salonowa.
13.25: Chwilka gospodarstwa domowego.
15.30: Piosenki w wykonaniu Oli Obarskiej.
16.15: Koncert zespołu Pawła Rynasa.
16.45: „Pies" — skecz Antoniego Czechowa.
17.20: Recital skrzypcowy Stelli Dortheimer.
18.00: Recital fortepianowy Leona Ginzburga.
18.30: „Piosenki dla dzieci" — odśpiewają „te 4-ry".
18.45: „Życie kulturalne i artystyczne stolicy".
20.20: Drobne utwory w transkrypcji na alt-saxofon w wykon. M. Mule.
21.00: Koncert Orkiestry 58 p. p. pod dyr. kpt. Chmielewicza (z Poznania).
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek, 21 I. 1936 r.

9.10: Transmisja z Generalnej Dyrekcji Loterji Państw. z ciągnienia głównej wygranej.
12.15: Audycja dla szkół — „Legenda o mysikróliku".
12.30: „1000 taktów muzyki" — wykonaniu zespołu Rachonia.
15.30: Muzyka operetkowa.
16.15: Pieśni amerykańskie w wykonaniu Franki Ricci.
17.15: Płyty dla znawców.
18.00: Recital fortepianowy.
20.10: Koncert Chóru Dana.
21.00: Koncert.
22.00: Kwartet smyczkowy d-moll Schuberta.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 22 I. 1936 r.

12.30: Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
15.30: Pieśni w wykonaniu Ryszarda Crooks'a.
17.00: „Ceny sprawiedliwe" — z cyklu „Dyskutujmy".
17.20: Suity ze starych oper w wyk. Zespołu Niny Mańskiej.
17.50: Świat się śmieje.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: „Twórczość Fryderyka Chopina" — XXI aud. z cyklu radjowego.
21.35: O twórczości powieściowej, szkic literacki.
21.50: Zamieniamy towar — pogadanka dla kupców.
22.00: Koncert poświęcony twórczości Władysława Żeleńskiego.
22.40: Muzyka taneczna.

Czwartek, 23 I. 1936 r.

12.15: Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
13.00: Edward Grieg i Sonata Skrzypcowa (Kreisler i Rubinstein)
15.30: Muzyka taneczna.
16.00: Gadanina Starego Doktora.
17.15: Sekstet salonowy Józefa Stena.
18.00: Recital fortepianowy Felicji Blumenthal.
20.00: Kwintet Henryka Golda i Adam Aston.
21.00: „Historja o żołnierzu" C. F. Ramuz'a — słuchowisko.
22.25: Muzyka taneczna.

Piątek, 24 I. 1936 r.

12.40: Potpourri operetkowe.
15.30: Mieczysław Fogg w swoim repertuarze.
16.15: Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
17.00: W pracowni archiwalnej — reportaż.
17.20: Recital śpiewaczy Stefanji Millerowej.
18.00: Rapsodja na saksofon, trąbkę, skrzypce i fortepian.
20.00: Koncert symfoniczny.
22.45: Muzyka taneczna z kawiarni „Café Club".

Sobota, 25 I. 1936 r.

13.00: Z oper Wincentego Bellini'ego.
14.30: Dwa fortepiany: Leon Boruński i Karol Gimpel.
16.15: „Brawo! Mamy gości" — słuchowisko dla dzieci.
17.00: Z sekretów stolicy — reportaż.
17.15: Nowości z płyt.
17.50: „Sztabin-miasto, które żyje legendą" — pogadanka.
18.00: Koncert solistów.
20.00: Sabat oper — lekka audycja muzyczna.
21.30: Kukułka Wileńska.
22.00: Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej.
22.40: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.